NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatnie stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)
Telefon Nr. 479.
[illegible]

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: **Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.**

Główny skład na Księstwo Poznańskie: **M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.**

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. Kraków, 8 grudnia 1917. Nr. 49.

Rozstrzygające walki na Zachodzie.



Typy jeńców angielskich, wziętych do niewoli w czasie ostatnich walk we Flandryi. (Fot. Bufa.)

Treść numeru: Przepowiednia Wernyhory. — Bohaterscy ratownicy. — Rosya pod rządami bolszewików. — Ameryka w wojnie światowej. — Z frontów bojowych. — Stulecie Fredry i t. d.

Rozstrzygające walki na Zachodzie.

Gdy na wschodnim froncie nastąpiło już formalne zawieszenie broni, Francuzi i Anglicy z tem większą zaciętością ponawiają swe ataki. O tych walkach na froncie zachodnim piszemy obszerniej na innem miejscu, w artykule „Z frontów bojowych“, tu zaznaczymy tylko, że wznowiona w ostatnich dniach czynność bojowa Francuzów i Anglików jest może właśnie dowodem, iż wreszcie zbliżamy się do końca tej najkrwawszej w dziejach wojny. Nie ulega bowiem wątpliwości, że pomimo wojowniczej postawy koalicyi zbliża się chwila upragnionego pokoju. Rozumie to koalicya i stara się wyzyskać obecny przełomowy moment wojny, aby przynajmniej tam, gdzie to możliwe — a więc na froncie francusko-angielskim — osiągnąć jakiekolwiek sukcesy. Z ogromnym uporem walczą zwłaszcza Anglicy, wszystkie jednak ich ataki rozbijają się o żelazną postawę wojsk niemieckich.

W każdym razie po rozgromieniu Włochów i zawarciu zawieszenia broni na froncie wschodnim — jedynie na Zachodzie toczą się walki, które mają być ostatniem rozstrzygnięciem w obecnej wojnie.



Z frontów bojowych: Austryacka kawalerya w Primolano. (Woj. kwat. pras.)

Ameryka w wojnie światowej.

Stany Zjednoczone niezbyt spieszą się z pomocą swym sojusznikom w Europie. Jak dotychczas bardzo nieliczne oddziały amerykańskie biorą udział w walce na zachodnim froncie — zato dużo się mówi i pisze o przygotowaniach wojennych Ameryki, a zwłaszcza o budowanej tam olbrzymiej flotylli aeroplanów, która ma rozstrzygnąć o losach wojny w Europie... Fragment z tych przygotowań — nie tyle może groźny, ile miły dla oka — widzimy na naszej fotografii... Są to piękne damy z towarzystwa nowojorskiego, które z całem poświęceniem staregły w szeregach amerykańskiej armii lotniczej... Figlarne ich uśmiechy świadczą, że te nadobne lotniczki są pewne zwycięstwa.. I może mają słuszność, bo z pewnością każda z nich zdobędzie w Europie choć jednego „jeńca“...



Rosya pod rządami bolszewików: Demonstracya pokojowa na dworcu kolejowym w Kronstadzie. (Woj. kwat. pras.)

Rosya pod rządami „bolszewików“.

Idea pokoju, którą proklamowali maksymaliści rosyjscy (bolszewicy) odniosła zwycięstwo. Kiereński oraz Kaledin i inni jenerałowie rosyjscy, mający niewątpliwie mniej lub więcej licznych zwolenników wśród armii, zostali zwyciężeni przez Lenina, który, jak zapowiedział, rozpoczął swe rządy od proklamowania pokoju i zwrocenia się z oficyalną propozycyą pokojową do wszystkich państw wojujących (treść tej noty podajemy w rubryce „Z tygodnia“).

Tak więc rewolucya „bolszewicka“, w której powodzenie do niedawna jeszcze wątpiono, zmieniła sytuacyę wojenną w Europie i wysunęła na pierwszy plan sprawę pokoju. O przebiegu tej rewolucyi w Petersburgu, która wyniosła bolszewików na czoło rządu i która stanie się niewątpliwie punktem zwrotnym w obecnej wojnie, przynoszą interesujące rewelacye „Berlingske Tidende“. Informacyi tych udzielił wielki przemysłowiec szwedzki dyrektor Hjorth ze Sztokholmu, który przybył do Szwecyi ostatnim specyalnym pociągiem, jaki wypuszczono z Petersburga.

Podług relacyi dyrektora Hjortha, jeszcze przed wybuchem w Petersburgu od dłuższego czasu obiegały pogłoski o gotującym się zamachu bolszewickim. Rząd tymczasowy poczynił kroki dla odparcia go. Już 2. listopada umieszczono artyleryę na moście Litiejnym, prowadzącym do arsenału, a karabiny maszynowe w wielu różnych punktach miasta. Po ulicach uwijały się opancerzone samochody, zaopatrzone w mitraliezy. Uczniowie szkoły kadeckiej, wierni rządowi Kiereńskiego, demonstrowali z pieśniami na ustach. Również i robotnicy, zwolennicy maksymalistów, ograniczali się do publicznych krzykliwych wystąpień. Miasto było przepełnione atmosferą naprężenia, dreszczem oczekiwań, mimo to nie wierzono, aby bolszewicy zaryzykowali czynne wystąpienie. Zapanowała pozorna cisza.

Dopiero szóstego, wczesnym rankiem, zauważono pewne objawy. Na Newie zjawił się krążownik „Aurora“, z siedmiu mniejszymi wojennymi statkami, zarzucił kotwicę i skierował działa ku Zimowemu pałacowi. Rząd nakazał natychmiast podnieść ruchome przejścia na mostach, aby przeciąć połączenie między poszczególnemi częściami Petersburga. O godzinie trzeciej po południu wylądowały wojska z wymienionych statków, odpędziły pikiety wojskowe, zajęły mosty i spuściły je znowu. Równocześnie deputacya wysłana z twierdzy św. Piotra i Pawła udała się do sztabu generalnego i zażądała by się poddał w przeciągu dwudziestu minut, w przeciwnym bowiem razie rozpocznie się bombardowanie budynku. Sztab wysłał gońca do rządu, który zebrał się w pałacu Zimowym i uprosił jeszcze o dziesięć minut zwłoki. Po jej upływie bolszewicy otoczyli budynek. I do rządu tymczasowego przybyła deputacya z żądaniem, aby się poddał. Ten odparł, że opiera się na prawie i powierza się ochronie wojska i narodu. O godzinie dziewiątej wieczorem rozpoczęły grzmieć działa z obwarowań i z okrętów na Newie w stronę zabudowań sztabu i Pałacu Zimowego. Pod ostatni podstąpiły zbuntowane wojska. Ministrów aresztowano z wyjątkiem Kiereńskiego, który zbiegł.

O godzinie czwartej nad ranem siódmego dnia, ustała kanonada. Bolszewicy obsadzili bank państwa, stacyę telegrafu i telefonu, dworzec i drukarnię pism burżuazyjnych. Za dnia szeregi żołnierzy marynarskich zalewały formalnie ulice. Mieszczanie nie wychodzili z domów. Ustała wszelka praca, sklepy i biura były zamknięte. Bandy rozbójnicze ciągnęły



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Ruiny kościoła na terenie ostatnich walk we Flandryi.

przez miasto, rabowały i plądrowały. Obywatele zorganizowali straż przed domami. Okropność położenia zaostrzyła się skutkiem braku środków żywności, ludności groził formalnie głód. Bolszewicy rozrzucili proklamacye z wezwaniem ludności do spokoju i z podaniem mnóstwa ilości numerów telefonicznych, pod którymi należy dzwonić w razie napadu.

Pomimo tych wewnętrznych niepokojów bolszewicy stali się panami położenia. Postanowili też od razu wyzyskać atut, jaki posiadali w rękach — sprawę natychmiastowego pokoju. Proklamowanie zawieszenia broni przeciągnęło na ich stronę wszystkie armie na froncie, które wiadomość o pokoju przyjęły z entuzyazmem.

Na wielu odcinkach zaczęły się przyjazne manifestacye wobec wojsk nieprzyjacielskich. Taką manifestacyę na południowo zachodnim froncie opisuje „Kijewskaja Myśl". Przeciwnicy powitali się naprzód czapkami i zapraszali się wzajemnie do zwiedzenia nieprzyjacielskich rowów. Żołnierze rosyjscy przyjęli to zaproszenie. Ażeby jednak francuskie baterye nie strzelały na Niemców i Austryaków, ustawiono przy bateryach specyalne posterunki, które artylerzystom zagroziły zabiciem na wypadek, gdyby choćby jeden strzał miał paść na nieprzyjacielskie pozycye.



Rosya pod rządami bolszewików: Podoficer rosyjski grozi karabinem dezerterowi, który samowolnie chce opuścić swe stanowisko. (Woj. kwat. pras.)



Z frontów bojowych: Zdobyty przez wojska austryackie fort włoski Cima di Lan. (Woj. kwat. pras.)

Przy tem masowem zbrataniu żołnierze rosyjscy mieli oświadczyć, że nie chcą dalej walczyć i że żołnierze niemieccy mogą liczyć na to, iż na Boże Narodzenie będą w domu.

Przedstawiciele państw koalicyi w głównej kwaterze zaprotestowali naturalnie przeciw naruszaniu układu, zawartego między dawnym rządem cara, a rządami koalicyi w Londynie w dniu 5. września 1914 roku. W związku z tem, zagrozili przedstawiciele państw koalicyi, że każde naruszenie układu wspomnianego przez Rosyę, a w szczególności zawarcie odrębnego zawieszenia broni, pociągnie za sobą ciężkie konsekwencye.

Komisarz dla spraw zagranicznych Trocki odpowiedział na te zawiadomienia telegramem do wszystkich komitetów wojskowych i rad robotników, żołnierzy i chłopów, w którym wskazał, że przedstawiciele sojuszników w sposób niedopuszczalny wmieszali się do wewnętrznych spraw Rosyi. Próby przedstawicieli sojuszników zmuszenia armii rosyjskiej i rosyjskiego narodu do dalszego prowadzenia wojny groźbami, nie odwiodą rządu rosyjskiego od szukania drogi do demokratycznego pokoju. Żołnierze, robotnicy i chłopi rosyjscy nie chcą pozostawać dalej pod knutem imperyalizmu koalicyi.

Odezwa wzywała do dalszej walki o natychmiastowe zawieszenie broni i kończyła się słowami: Precz z tajnymi układami i dyplomatycznemi intrygami.

W myśl tego oświadczenia rząd bolszewików rozpoczął też ogłaszanie tajnych traktatów pomiędzy Rosyą a państwami koalicyi i pomimo protestu sojuszników przystąpił do układów z państwami centralnemi o zawieszenie broni, które też w dniu 3 b. m. zostało oficyalnie zawarte. Trzeba tu jednak zaznaczyć, że faktycznie istniało ono już od chwili wybuchu rewolucyi, propagowane samowolnie przez żołnierzy rosyjskich, którzy już za rządów Kiereńskiego wprowadzali w czyn pokojowe hasła bolszewickie, odmawiając posłuszeństwa komendantom i uciekając masowo z frontu.

Przepowiednia Wernyhory.

Słynny w swym czasie był w Polsce Kozak Wernyhora. W roku 1766 przybył z okolic naddnieprzańskich w granice Rzeczypospolitej i osiadł we wsi Makiedonówce, w starostwie Kaniowskiem. Tam przepowiedział koliszczyznę, zjazd wielki w Kaniowie i jego następstwa i wiele innych rzeczy. Gdy mu zagrożono wydaniem hajdamakom, zbiegł z ulubionej miejscowości i osiadł na wyspie rzeki Rosi, w samotnym domu. Starosta korsuński, Suchodolski, spisał starannie w ruskim narzeczu wszystkie przepowiednie Wernyhory, z których większa część co do słowa się sprawdziła.

Obecnie kolej na ostatnią. Według jego słów, niepodległa Polska miała powstać znowu wtedy, gdy Turek znajdzie się na jej ziemi i napoi konie swe w jej wodach. Świadectwem i dowodem, że i w tym wypadku Wernyhora się nie pomylił, jest wojenny cmentarz turecki w Stryju. W walce z wspólnym wrogiem złożyli tutaj, zdala od swej ojczyzny, wyznawcy półksiężyca swe ciała na wieczny spoczynek, aby się spełniło, co przed laty powiedział ukraiński Kozak w swem proroczem natchnieniu.



Z frontów bojowych: Kopuły pancerne we forcie Leone na Cima di Campo, zdobytem przez wojska austryackie. (Woj. kwat. pras.)



Rozstrzygające walki na Zachodzie: Lej, wyrwany uderzeniem granatu, służący wojsku niemieckiemu jako rów strzelecki. Fot. Bufa.



Z frontów bojowych: Ulica w zburzonem doszczętnie Castell Tessino. (Woj. kwat. pras.)



Ameryka w wojnie światowej: Damy z towarzystwa nowojorskiego w roli lotniczek.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

26

— Nie lubi pani?... Czy naprawdę można pani nie lubić?!...

— Oj! Można, panie Jurku, oj, można!... Ale musimy się już pożegnać...

Zatrzymali się na załomie ulicy, bo Józia z obawy przed gniewem świekry nie chciała iść z młodym legionistą przez rynek.

Podali sobie ręce w serdecznym, przyjacielskim uścisku.

— Czyż nie zobaczymy się już, paniu Józiu? — pytał Jurek, przytrzymując w swojej stwardniałej prawicy, drobną dłoń młodej kobiety.

Józia zsunęła brwi w namyśle.

— Jabym sama tak chciała widzieć się jeszcze z panem... pogadać...

— Może jabym zaszedł do pani — zaproponował nieśmiało chłopiec.

— O! Nie!... Nie!... To niepodobna!... — zaprotestowała żywo. — Ale wie pan, już wiem, jak będzie. Zalecę dzisiaj po szóstej do panny Larchówny. Będzie tam pan?

— Oczywiście, że będę.

— Do widzenia zatem!

— Do widzenia!

— Serwus, Jurek! — zawołała jeszcze w przystępie łobuzerskiej swawoli.

Sama zdziwiła się tym poufałym wykrzyknikiem. Nie wiedzieć skąd przyszło jej to na myśl. Ot, odezwała się w niej na chwilę „kozak dziewczyna“, „narwana Józka“.

Nagle drgnęła. Doznała wrażenia, jakby ją ktoś policzkował wzrokiem. Odwróciła głowę. Przed bramą pobliskiej kamienicy stał Łuniewski. W jednej ręce trzymał płonącą zapalniczkę benzynową, w drugiej niezapalonego papierosa. Bił w Józię spojrzeniem nienawiści i wzgardy. Zielonawe oczy błyszczały fosforyzująco. Usta zaciśnęły się brzydkim, złym grymasem, który miał być może ironicznym uśmiechem.

Stał tak blisko, że z pewnością słyszał, jak Józia mówiła: „Serwus Jurek“.

Patrzył wyzywająco, arogancko i nie zdjął kapelusza, nie ukłonił się.

Młoda kobieta zadrżała pod tem wejrzeniem.

— Nowy wróg, zacięty wróg!... — szepnęło jej złe przeczucie.

Skinęła Jurkowi głową i spiesznie zwróciła się w stronę domu.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Teresa Larchówna, z wyciągniętemi nogami, wpółleżąc, wpółsiedząc na swojej wązkiej sofce, czytała gazetę.

Czytała bardzo uważnie, z widocznem natężeniem myśli.

Przy stole siedział Jurek Borzecki. Stała przed nim szklanka z niedopitą herbatą i leżał kawałek niedojedzonego chleba.

Legionista wsparł się na łokciu i w zadumie pocierał dłonią czoło.

Larchówna doczytała do końca jakiś artykuł. Wargi jej poruszyły się w ten sposób, jakby przeżuwała coś bardzo niesmacznego, gorzkiego.

Po chwili podniosła wejrzenie swoich płomiennych, głęboko zapadniętych oczu.

— Aż coś się w człowieku skręca, kiedy się czyta teraz gazetę. Tak mi się zawsze zdaje, że tę płachtę papieru czuć nie kiepską farbą drukarską, ale krwią ludzką. Posłuchaj... naprzykład dzisiejszy komunikat: „nasze waleczne wojska wykonały niespodziany atak na wzgórze, obsadzone wczoraj przez nieprzyjaciela i odzyskały je. Straty nasze, pomimo zaciętej obrony nieprzyjaciela, są nieznaczne“. Uważasz: „nieznaczne!“ Jak to niewinnie brzmi. Albo jest tu artykulik pt. „Orgia lichwy żywnościowej“. Takie to niby powszednie, już przyzwyczailiśmy się: „niema chleba, niema mąki, niema ziemniaków, niema mleka dla dzieci“, ale tak uważnie wsłuchać się, to każde słowo aż wyje poprostu rozpaczą. Uważasz, Jur?...

— Tak, tak... — odpowiedział z roztargnieniem Jurek.

Larchówna odłożyła gazetę i wpatrzyła się w ciotecznego brata.

— Zdaje się, żeś ty nawet nie słyszał, o czem mówiłem. Gdzie twoje myśli, Jurku? Ciągle się trapisz temi sprawami legionowemi?

— Nie, Tereniu... O czem innem myślałem teraz...

— Musiało to być coś poważnego i niewesołego, bo minę masz przytem wcale nie tęgą.

— Tak...

— No, wyspowiadaj się, chłopaku, powiedz, co ci tam na sercu cięży... Ty wiesz, że ja umiem słuchać, a czasem i poradzić.

— Ja sam chciałem z tobą o tem mówić...

— To mów... Cóż to takiego?... Może zakochałeś się, dzieciaku?

Jurek uśmiechnął się smutnie.

— Nie, teraz nie zakochałem się... Widzisz, spotkałem dzisiaj w Łykowie dawną znajomą...

— Więc?...

— Nie wiedziałem nic, że wyszła za mąż. Mówiła mi, że się znacie...

— Któż to taki?

— Z domu panna Józia Maliniewicz... Obecnie pani... pani Żarnicka...

— Aha!... — Teresa postawę wpółleżącą zmieniła na siedzącą. — Piękna pani Józia! Jakoś cię ona bardzo obchodzi, to już widzę.

Jurek milczał, utkwiwszy oczy w żółtawą ceratę, okrywającą stół. Palcami jednej ręki bębnił jakiegoś marsza.

— Słuchajno, Jur, a jak to było na imię owej czternastoletniej dziewoi, dla której wyprawiałeś takie arabskie awantury, że cię ze szkoły „wylali“ i matka musiała wywieźć cię z Krakowa. Nie Józia, przypadkiem — co?

— Józia — odrzucił krótko.

— No tak, teraz rozumiem. A ty o niej jeszcze nie zapomniałeś, czy teraz dopiero przypomniałeś sobie?

— Nie zapomniałem...

— Tak! O niej trudno zapomnieć. Rzuca czar... — powiedziała Larchówna, jakby sama do siebie.

— Tereniu, powiedz mi... — zaczął znowu Jurek.

— Cóż chcesz wiedzieć?

— Jaki jest ten... ten jej mąż?... I jego rodzina?... I jak myślisz, czy jej tutaj dobrze?

Teresa nie odpowiadała długą chwilę, sięgnęła po leżącą obok na krześle papierośnicę, wyjęła papieros, usypała odrobinę tytoniu na rękę i mruknęła ze złością:

— Psiakrew! „Ersatz“ Bukowe liście!

— Tereniu... — powtórzył proszącym tonem chłopak.

Larchówna otoczyła się obłokiem błękitnawego dymu.

— Głupia była ta mała, że nie czekała na ciebie. Potrzebnie się spieszyła...

Jurek westchnął.

— Czy to niedobry człowiek, ten Żarnicki?

Larchówna namyśliła się chwilę nad odpowiedzią.

— Nie, nie można powiedzieć, żeby był niedobry... Przeciwnie, on jest z natury dobry i trochę nawet zanadto tkliwy, tylko...

— Tylko co?...

— Tylko, że to jest „mamusi synek“. A jego mama... A przytem owa wrodzona mu dobroć i jak wspomniałam nadmierna tkliwość, godzi się u niego doskonale z niezwykłem wygodnictwem i podlana jest sosem porządnego egoizmu. W stosunku zaś do kobiet jest,... ja bym to nazwała, „łagodnym uwodzicielem“. Ale ty może nie rozumiesz tego określenia, Jur.

— Istotnie, nie rozumiem, ale mniejsza o to! Idzie mi tylko o nią. Jak myślisz, czy on ją kocha?

— Po swojemu, z pewnością.

— To znaczy?...

— To znaczy, iż mu się zdaje, że jak on ma na nogach kalosze, to jej nie powinna do dziurawych bucików napływać woda...

— Więc to taki egoista!...

— Wszyscy mniej lub więcej jesteśmy egoistami, Jureczku!

— Sądzisz, że Józia w nim zakochała się...

— Nie tylko się zakochała, ale waryowała za nim!

Usta Jurka zadrżały prawie niedostrzegalnie.

— Czy on bardzo przystojny?

— Tak sobie. Zależy od gustu.

— Ale można się w nim zakochać?

— O! Można! — Czarne oczy Larchówny rozżarzyły się nagle. Może wstrząsnęła nią fala wspomnień.

W głosie jej zadrgał taki mocny akcent niezłomnego przekonania, że zwróciło to uwagę Jurka.

Nie zdradził się z tem jednak i głośno zapytał:

— A matka, pani Żarnicka?

Sobolowe, przepyszne czarne brwi zbiegły się, pogłębiając bruzdę na czole.

Wypalonego papierosa zgniotła i rzuciła na popielniczkę.

— O Żarnicką się pytasz? Podła, wściekła małpa! — rzuciła przez zaciśnięte zęby to niewybredne określenie.

— I jak ona obchodzi się z Józią?

— Maltretuje ją!

— Aaa!...

Zapukano do drzwi.

Larchówna zerwała się z sofki.

— Proszę! — zawołała.

Drzwi otworzyły się. Ukazała się słodka twarzyczka Józi.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— No, niechże się pani decyduje. Pojedziemy razem... — nalegał Jurek.

— Poco mnie pan namawia! Czy pan nie widzi, jaką mam ochotę? Cóż, kiedy nie można.

— Dlaczego nie można?

— No bo tak...

— Chyba świekra nie zabroni pani odwiedzić ojca — wtrąciła milcząca dotychczas Larchówna, która żadnego prawie nie brała udziału w rozmowie Józi i Jurka, lecz tylko obserwowała i kombinowała coś w myśli.

Po jej przywiędłych, spieczonych wargach przebiegał kiedy niekiedy dziwny uśmiech, pobłażliwie ironiczny.

Ona jedna zdawała sobie sprawę z tego, jakie skutki, komentarze pociągnąć może za sobą ta wspólna podróż dwojga młodych.

W honor i czystość uczuć Jurka wierzyła wprawdzie niezłomnie, jak również w niewinność zachcianki Józinej, wiedziała jednak dobrze, że nie uwierzy w to ani pani Żarnicka, ani żadna z „kumoszek“ łykowskich, ani Konrad...

Nie ostrzegała jednak, nie odradzała, przeciwnie, podsuwała Józi wybieg.

— Może pani powiedzieć, że pani dostała list od ojca z zaproszeniem.

— Ach! Moja teściowa nie zapyta pewnie nawet o to. Ona będzie szczęśliwa, że się na mnie choć przez kilka dni patrzeć nie będzie.

— Cóż to za zła musi być kobieta! — wybuchnął Jurek.

— Trudno, jaka jest, taka jest! Ja jej już nie zmienię!

— Więc gdzież przeszkoda? — zapytała Larchówna. — Aha! Domyślam się, o co idzie! Pieniędzy pani niema? — szepnęła, pochylając się do ucha Józi, tak, aby Jurek nie usłyszał.

Usłyszał jednak.

— Pieniądze!... Jakto, przez takie głupstwo, przez taką bagatelkę miałaby pani zepsuć sobie przyjemność?!...

— No, no, ładna mi bagatelka — brak pieniędzy!... zamruczała Larchówna — Odkądże to tak, mój chłopcze?... Nie wiesz to, jak ktoś tam napisał: „Ho! Geniuszem mógłbym zostać, gdyby nie ten brak pieniędzy, co wyniosłą moją postać wciąż powala w rynsztok nędzy“...

Jurek, zda się, nie słyszał nawet słów kuzynki. Nieśmiałe, proszące wejrzenie zwrócił ku Józi.

— Pani Józiu... jeżeli rzeczywiście... to niech pani zechce... niech pani raczy przyjąć odemnie pożyczkę... Ja mam pieniądze... Zaoszczędziłem jeszcze z pola...

Ogniste rumieńce oblały twarz młodej kobiety aż po korzenie złotawo-bronzowych włosów.

— Panie Jerzy, co pan...

— Tereniu!... — zawołał błagalnie Legionista, jakby szukając pomocy u kuzynki.

Larchówna leżała na sofce, podłożywszy pod głowę obie ręce. Czarne przepaściste oczy przebiegały ze wzruszonej twarzy Jurka ku zaczerwienionej Józi i znowu powracały do młodego Legionisty — tajemnicze, zagadkowe. Nie podobna było wyczytać z tych oczu, co Teresa w tej chwili myśli.

— Może pani śmiało przyjąć od Jurka... — wyrzekła jakimś leniwym głosem — od żadnego innego nie radziłabym... ale od niego może pani...

Józia była zakłopotana, ale i rozrzewniona zarazem. Poczciwy Jurek!... żadnej urazy, żadnej złości — sama tylko życzliwość...

Chcąc ukryć zmięszanie, odwracała głowę od młodego Legionisty — ku oknu. Ostatnie blaski zachodzącego słońca rzucały czerwonawe

światło na jej prześliczny, subtelny profil o krótkim, prostym, ruchliwym nosku i miękko zaokrąglonej brodzie.

— Doprawdy, to nie to... Dziękuję panu bardzo... Ja wiem przecież, że pan tak z życzliwości... ale doprawdy nie potrzebuję... Mam na drogę... Mam jeszcze całe dwadzieścia koron!...

Józia tak mało w ostatnich kilku miesiącach posiadała pieniędzy (dużo nie miała ich nigdy), że nie zdawała sobie sprawy z naiwności i komizmu swego powiedzenia.

Ale Larchówna parsknęła krótkim, urwanym, niewesołym śmiechem, a Jurek zrobił minę, która wyrażała bezgraniczne zdziwienie.

Nie mógł się połapać w sytuacyi. Słyszał przecież, że Żarniccy są to ludzie bardzo zamożni.

— No, skoro pani posiada takie kapitały, to co innego... — powiedziała Larchówna z resztką śmiechu w głosie — Czy to jeszcze pozostałość po owej broszce?...

Zatrzepotały się powieki, długiemi, jedwabistemi rzęsami obrzeżone — zmacił się czysty błękit źrenic Józinych... Tępym wzrokiem w okno patrząc, młoda kobieta odpowiedziała cicho:

— Broszka już wykupiona...

— Tak?... A któż ją wykupił?...

— Świekra...

— To ona wie?

— Wie...

Jurek słuchał i nic nie rozumiał.

Jakoś dziwnie ciężko opuściła się Józia na krzesło i zaplotła na kolanach ręce. Głowa pochyliła się nizko ku piersiom. Wiośniana twarz postarzała się przez dwie małe fałdki koło ust, tak mocno, tak ponuro zacisnęły się wargi.

Milczała. Larchówna i Jurek nie odzywali się także, intuicyjnie odczuwając, że Józię w tej chwili lepiej pozostawić samej sobie.

A ona przeżywała myślą wypadki ostatnich dni.

Nazajutrz po owej brutalnej scenie, kiedy to pani Żarnicka uderzyła synową, Joasia przyniosła Józi zalepioną kopertę.

— Pani przysyła — powiedziała pokojówka. Wzrok służącej kłół Józię bezczelną drwiną i jednocześnie płonął ciekawością.

Co też może być w tym liście? Joasia próbowała go przejrzeć pod światło, ale niczego się nie dowiedziała, bo koperta była podklejona bibułką.

Teraz nie ruszała się z miejsca, jakby czekając, rychło młoda mężatka list otworzy. Ale Józia pamiętała o obecności tej nieżyczliwej dziewczyny.

— Na co Joasia czeka. Może Joasia już iść.

Służąca rzuciła jej złe, wyzywające spojrzenie.

— Owa! — zamruczała, idąc jednak ku drzwiom. — Cóż to, poświęcane miejsce, czy cesarskie, że postać nie można? Jakie grymasy pańskie!... A to jeszcze niewiadomo, kto większa pani!...

Hałaśliwie zatrzasnęła drzwi za sobą.

Wtedy Józia drżącymi palcami rozerwała kopertę, ale przez chwilę nie miała odwagi wyjąć listu.

Może mnie wypędza?... — przemknęło jej przez myśl.

I dziwna rzecz. Przypuszczenie to nie przeraziło jej wcale. Przeciwnie.

Zdecydowała się wreszcie przeczytać to, co jej pisze pani Żarnicka.

Ze środka złożonego we dwoje arkusika wypadł banknot dwudziestokoronowy. Treść była krótka i zwięzła: „Te dwadzieścia koron muszą ci starczyć na całomiesięczne wydatki. Broszkę wykupiłam, ale gdybyś się ośmieliła znowu robić poza mojemi plecami długi, to pożałujesz tego. Do stołu masz przychodzić regularnie, bez fochów, rozumiesz?! Taka jest wola Konrada i moja!"

Zakrzywiły się kurczowo palce Józi i jęły targać list w drobne strzępki. Podarła go, zdeptała nogami i zmiąwszy banknot w dłoni, porwała się ku drzwiom.

Rzucić jej! Rzucić w twarz tej podłej, nienawistnej kobiecie jej wstrętne pieniądze!

Zanim jednak zdążyła wybiedz z pokoju, spojrzenie jej padło na stojącą na biurku fotografię męża.

Zatrzymała się nagle. Stanęła jak wryta, dysząc ciężko.

Tak, pójdzie! Ciśnie Żarnickiej w twarz ten banknot, na obelgę odpowie obelgą, ale co potem?... Co dalej?... Co powie na to Konrad?...

„Taka jest wola Konrada i moja..."

— A ja?... A ja?... Czyż nie mam własnej woli?... — buntowała się Józia.

— Jakąż ja mogę mieć wolę?... Iść z tego domu?... Stracić Konrada na zawsze!... Do tego właśnie dąży ona!...

Józia wiedziała już, że Konrad za nią nie pójdzie, ale ona musi trwać przy nim mimo wszystko.

Mimowolnie spojrzała Józia w lustro, naprzeciw którego stała i przestraszyła się sama swej zielonkawo-bladej z gniewu twarzy i zsiniałych ust.

Długą chwilę jeszcze walczyła ze sobą, zmagała się, przenosząc wzrok z fotografii Konrada na ściskany w dłoni banknot, jakby pomiędzy tymi dwoma przedmiotami istniał jakiś tajemniczy związek.

„Taka jest wola Konrada i moja!"

Fotografia zwyciężyła... Z rozwartej ręki upadł na podłogę banknot...

Józia zrozumiała, że jeśli chce zostać w tym domu do powrotu Konrada, to musi stać się jeszcze cichsza, jeszcze pokorniejsza, jeszcze ustępliwsza...

Podjęła z ziemi dwudziestokoronówkę, wygładziła ją i schowała do szufladki.

Na obiad poszła do jadalni, gdzie zastała już świekrę i szwagierkę. Pani Żarnicka nie drgnęła nawet, nie obróciła głowy, zdała się nie spostrzegać synowej... Za to z czarnych oczu Loli strzelił groźny płomień.

Na cichutkie Józine „dzień dobry" nie było odpowiedzi.

Po obiedzie pani Żarnicka bez słowa wręczyła Józi malutkie pudełeczko. Przy tem spojrzała na nią po raz pierwszy tego dnia, ale z taką nieopisaną pogardą, z takim wstrętem, jakby miała przed sobą nie człowieka, ale jakieś obrzydzenie wzbudzające zwierzę.

Józia zdobyła się na to, że drżącemi wargami wyszeptała:

— Dziękuję...

I znowu nie usłyszała odpowiedzi, nie oczekiwała jej zresztą.

Odmiennie, niż do tego czasu, ukształtowały się stosunki pomiędzy panią Żarnicką a Józią.

Pozornie zdawać się mogło, że są znośniejsze, w istocie jednak były gorsze.

Burzliwe awantury ustały. Otwarta, głośna wojna przycichła, ustępując miejsca milczącemu wrzeniu, stokroć bardziej zjadliwemu i przepojonemu nienawiścią.

Podczas wspólnie spożywanych posiłków, pani Żarnicka zwracała na synową mniej uwagi, niż na stojącą w kącie spluwaczkę. Traktowała Józię tak, jakby jej wcale nie było.

A jednak młoda kobieta czuła, że od tej wysokiej, imponującej kobiety płynie ku niej prąd wrogi, groźny, że świekra przyczaiła się tylko i czeka. Na co? Niewiadomo.

A i Józia siedziała przy stole najczęściej z opuszczonemi na oczy powiekami, aby ukryć zapalające się w nich iskry nienawiści.

Przełykając zupę lub gryząc mięso, prowadziła sama ze sobą w myśli goryczą zaprawną rozmowę.

— Widzisz, tutaj siedzi kobieta, która cię chce zniszczyć, zgnieść! Zatruwa ci życie... i chce ci odebrać Konrada, wiesz ty o tem?! I w twarz cię uderzyła, pamiętasz!... W twarz, jak ostatnią niewolnicę!.. I za co?!...

Józię chwyta dzikie, szalone pragnienie, aby waz z gorącą zupą, albo półmisek z pieczenią rozbić o głowę świekry.

Panuje jednak nad sobą i je dalej, tylko coraz wolniej.

— Nie mogę... Nie mogę... — odpowiada sama sobie, z jakimś wewnętrznym jękiem. — Muszę być cicha... pokorna... O! Konradzie! Konradzie!...

A Konrad pisze rzadko i tylko krótkie, suche, nic nie znaczące kartki...

Prawdziwą ulgą były dla Józi dni, kiedy nie potrzebowała przychodzić do wspólnego stołu. Bywało to wówczas, kiedy do Żarnickiej przychodzili goście, albo kiedy na obiad czy kolacyę zaproszono Koszczyca.

Gwary ożywionych rozmów i wesołe śmiechy dochodziły nieraz do pokoju, w którym samotnie błąkała się między czterema ścianami Józia...

Książek nie miała do czytania żadnych, a do Larchówny bała się iść... Nie śmiała zaśpiewać, nie miała do kogo przemówić słowa... Czasem szyła coś, naprawiała, prała, ale roboty nie starczyło nigdy na długo i Józia znowu nie wiedziała, co robić z czasem, który wlókł się powolny, uprzykrzony.

Najczęściej rzucała się na łóżko i wtuliwszy głowę w poduszki, trwała w jakimś pół śnie — pół marzeniu.

Niekiedy jednak zrywał się w niej taki bunt, że pięściami chciała walić o ściany i krzyczeć w głos: „Nie mogę tak!... Duszę się!... Ginę!..."

Nie biła jednak o mury i nie krzyczała. Milczała i dławiła się... Wybiegała w takich chwilach na miasto, pod pręgierz spojrzeń ciekawych i niechętnych.

Powracała zwykle prędko, znużona upałem i zrozpaczona nad swoją samotnością.

„Konradzie, drogi mój, źle mi!... Źle mi!..." zaczęła raz pisać do męża, ale nie wysłała listu. Cóż on jej dopomoże.

Coraz silniej nurtowało w Józi i dojrzewało pragnienie wyjazdu z Łykowa choćby na czas jakiś... Odetchnąć innem powietrzem, odżyć innem życiem!...

O Zalesinkach marzyć nawet nie mogła, ale i do ciotki nawet pojechałaby chętnie, a cóż dopiero do Krakowa!...

Dzisiaj zebrała ją znowu taka tęsknota za słońcem, za ruchem, za gwarem ludzkim, że wybiegła z domu i przez kilka godzin błądziła sama po dusznych, rozpalonych skwarem ulicach.

I spotkała Jurka.

— — — — — — — — — — — — — — —

Szary zmrok wpełzał do pokoju, stał po ścianach cienie. Zacierały się rysy osób i niewyraźnie już majaczyły się kontury mebli...

Józia siedziała jeszcze nieporuszona i milcząca...

Larchówna powoli, ociężale dźwignęła się z sofki (zmęczona całodzienną gorączkową, pospieszną krzątaniną, czuła w całem ciele znużenie).

Delikatnie ujęła Józię za ramię i zatrzęsła nią lekko.

— Pani Józiu!... Co to znowu takiego?! Czego pani siedzi jak posąg? O czem pani myśli?!...

Józia westchnęła głęboko, jakby ze snu zbudzona.

— Panno Tereniu! Gdyby pani wiedziała...

— Może i wiem, bo ze mnie to djablo domyślna kreatura... Ale nie trzeba się tyle trapić, moja śliczna. Szkoda młodości, zdrowia, urody... Jurek! Rozweselże panią.

— Gdybym mógł tylko... gdybym umiał... odpowiedział chłopiec.

W szarości zmierzchu niepodobna było zaobserwować ani gry jego rysów, ani wyrazu oczu. Głos tylko miał bardzo smutny.

Znowu zapanowało milczenie, ale tym razem nie na długo. Przerwał je Jurek.

— Pani Józiu, jakże z tą jazdą do Krakowa?! Pani decyduje się? Pojedzie pani?

Pytał, ale pytanie to było zarazem gorącą, błagalną prośbą.

Może czuł, jak bardzo jej tego wyjazdu potrzeba.

Józia przez chwilę nie odpowiadała. Nagle, jak rozweselone dziecko, uderzyła w dłonie i rozradowanym głosem zawołała:

— Pojadę!... pojadę!... otóż pojadę!... Z panem będzie mi raźniej!...

Ucieszona własną decyzyą i nadzieją zmiany, zaśmiała się głośno, jakby zapominając o wszystkiem, co ją dręczyło i przygniatało.

— Pojadę!... Pojadę!...

— „Szczęśliwa młodość, nawet smutki zaprawne ma rozkoszą, dzień szczęścia długi, żalu krótki" — zadeklamowała półgłosem Larchówna, układając się ponownie na sofce.

— O! Jak to dobrze, że się pani decyduje — zawołał radośnie Jurek.

— A jakim pociągiem pan jedzie?

— Ja chciałem jechać nocnym. Daleko dogodniejszy, niż południowy. Gdyby jednak pani wolała...

— Ależ nie, mnie wszystko jedno. Pojedziemy nocnym pociągiem.

— Nie spóźni się pani na stacyę?

— Co? Jabym miała się spóźnić?! Ja doczekać się nie będę mogła... Ale teraz muszę już iść.

Wstała z krzesła i po omacku szukała swego kapelusza.

— Jur, zapalno świecę — zawołała Larchówna — stoi na komódce. Lampy zaświecić nie mogę, bo nie mam nafty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Bohaterscy ratownicy.

Jak już w jednym z poprzednich numerów donosiłśmy, cesarz Karol, w czasie swego pobytu na terenie walk włoskich, prawie cudem uniknął śmierci w nurtach wezbranego bocznego koryta Soczy. Ocalenie swe zawdzęcza powszechnie lubiany i popularny monarcha w pierwszej linii bohaterskiemu poświęceniu swego szwagra, ks. Feliksa Parma, który nadjechał na miejsce katastrofy w krytycznej chwili i, widząc swego szwagra w tak poważnem niebezpieczeństwie, rzucił się na jego ratunek, nie zważając bynajmniej na to, że sam naraża się na prawie pewną śmierć. Cesarz Karol, książę Feliks, przyboczny strzelec, Reisenbichler, oraz wachmistrz gwardyi przybocznej, Tomek, którzy od chwili wypadku nie opuszczali cesarza, walczyli tak długo z rozhukanemi falami, aż wreszcie nadeszła pomoc i wszyscy czterej zdrowi, choć zupełnie przemoczeni, znaleźli się na brzegu.

W uznaniu wiernego i bohaterskiego poświęcenia się rozdzielił cesarz Karol, bezpośrednio po wypadku, szereg odznaczeń wszystkim tym, którzy przyczynili się do jego ocalenia i sam osobiście wręczył im dekoracye. Książę Feliks Parma otrzymał złoty medal waleczności dla oficerów, inni zaś członkowie świty cesarskiej, nie będący oficerami, złote i srebrne medale waleczności.



Przepowiednia Wernyhory: Cmentarz poległych Turków w Stryju (Woj. kwat. pras.)



Bohaterscy ratownicy: Odznaczeni złotymi i srebrnymi medalami waleczności członkowie świty, którzy brali udział w ratowaniu cesarza Karola z fal wezbranej rzeki. (Woj. kwat. pras.)

Poświęcenie nowego mostu na Wiśle.

W ubiegłym miesiącu odbyło się uroczyste poświęcenie nowego mostu na Wiśle pod Annopolem, zbudowandgo dzięki staraniom władz okupacyjnych austryackich, które zwracają na to baczną uwagę, by kraj zaniedbany przed wojną przez ówczesnych jego ciemiężycieli, a następnie zniszczony pożogą wojenną, doprowadzić zwolna do takiego stopnia rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, jak na to zasługuje. Cały szereg szkół, sieć porządnych dróg i inne, tym podobne urządzenia, to ślady nowej gospodarki i zwiastuny nowej ery.

Aktu poświęcenia nowego mostu, wybudowanego na polecenie jeneralnego gubernatorstwa w Lublinie, dopełnił w obecności przedstawicieli władz okupacyjnych i tłumów miejscowej ludności, superyor polowy z Lublina, ks. Czyżewski.

Z frontów bojowych.

Ostatnie dni przyniosły pozornie pewną stagnacyę w operacyach wojennych. Nad Piavą w kilku miejscach próbowały wojska mocarstw centralnych przedostać się na prawy brzeg. Nie wiadomo jednak dotychczas, czy udało im się tam stworzyć przyczółki mostowe, które mogłyby stanowić podstawę do większych operacyi. Sama rzeka stanowi poważną przeszkodę w posuwaniu się naprzód zwłaszcza w dolnym swym biegu. Na znacznej przestrzeni brzeg obsadzony przez Włochów przedstawia strategicznie korzystniejszą sytuacyę do obrony. Poniżej Feuer opuszcza Piave teren górski, przecinkając się między Monte Tomba i Monte Perlo w dolinę. Lewy brzeg wykazuje zaledwie trzymetrowe wzniesienia, podczas gdy prawy dochodzi do 20 metrów. Aż do Falze di Piave okolica nadbrzeżna jest pagórkowata, bardzo żyzna i obfitująca w dobrze nawodnione łąki. W tym odcinku znajduje się kilkakrotnie wspomniana miejscowość Vidor. Poniżej tej części swego biegu przełamuje rzeka znowu ostatnie wzgórza, schodzące w dolinę Montello, które wznoszą się do 300 m. wysokości. Brzegi wznoszą się tu do 30 m. wysokości. W dalszym biegu ma Piave już brzegi zupełnie płaskie, piaskowe. Tu także rozpoczynają się wały chroniące od powodzi, ta zachodnim brzegu od Nervezy, na wschodnim od Susegana. Od Salgaredy, poniżej której leży znana z komunikatów miejscowość Zenzon, rzeka staje się bardzo szeroka, osiągając przestrzeń od 70 do 200 metrów. Głębokość rzeki dochodzi do 5 metrów. Okolica od S. Dona di Piave zaczyna przechodzić w bagna. Teren dla operacyi wojennych jest bardzo niekorzystny, dla artyleryi mało przejrzysty, a nawet dla piechoty często niedostępny. W dodatku Włosi zalali tu znaczne przestrzenie wodą.

Przejścia przez rzekę próbować więc trzeba w środkowym biegu.

Obecnie główny punkt ciężkości spoczywa w górach między Brentą i Piavą i tutaj też rozgrywają się najzaciętsze walki.



Z frontów bojowych: Opuszczone przez Włochów ziemianki w okolicy Cividale (Fot. Buła)



Poświęcenie nowego mostu na Wiśle: Superyor polowy z Lublina, ks. Oskar Czyżewski, dopełnia aktu poświęcenia nowego mostu na Wiśle pod Annopolem w Królestwie Polskiem. (Woj. kwat. pras.)

Włosi twierdzą w swych komunikatach, że udało im się w tym obszarze górskim stawić nieprzyjacielowi czoło. Walki wrą ciągle jeszcze w odcinku na zachód od Brenty, dookoła grzbietów Meletta, ułożonych w formie rogalika, a opadających swymi stokami na zachodzie ku Val Frenzela aż po Vastagna (na zachodnim brzegu Brenty), na wschodnim ku Val G dena. Otóż sztab włoski tryumfuje z powodu, że wojska pierwszej armii zdołały w tym odcinku przez dni dziesięć zabawiać przeciwnika i pomimo najgwałtowniejszych ataków nie wypuściy z ręki ani piędzi ziemi.

Nieco odmiennie przedstawiają sprawę biuletyny austro-węgierskie i niemieckie. Wedle nich zarówno w dolinie Brenty, jak w górach na wschód od niej, wojska sprzymierzone w walkach dni ostatnich poczyniły znaczne postępy. Pomimo okropnego stanu powietrza — w górach panują mrozy i szaleją orkany śnieżne — Włosi, w głębokie kolumny uformowawszy się, z uznania godną energią próbowali w ciągłych kontratakach nadkruszyć żelazną linię przeciwnika, lecz im się to całkiem nie powiodło. Wśród ciężkich strat wracać musieli na swe stanowiska. Próbowali wywalczyć sobie więcej przestrzeni, celem zaczerpnięcia powietrza. Zamiaru jednak nie zdołali przeprowadzić.

Ciężkim dla Włochów ciosem jest utrata Monte Pertica na wschodnim brzegu Brenty. Był to niejako wysunięty naprzód bastyon najważniejszego punktu gór Bassańskich, panującego naokoł Monte Grappa, którego zdobycie łatwem snać zadaniem nie będzie. Z Monte Grappa wysuwali się kilkakrotnie Włosi ściętymi kontratakami w stronę Monte Pertica. Przypłacili owe zapędy drogo, a odeszli ostatecznie z niczem. Nie lepiej dzieje się wojskom włoskim walczącym dokoła wyżyn, bezpośrednio nad Brentą położonych. Nadaremne te próby przyniosły tylko olbrzymie straty pierwszej i czwartej armii włoskiej, nie zbliżają zaś nieprzyjaciela



Bohaterscy ratownicy: Porucznik, ks. Feliks Parma, brat cesarzowej Zyty, za pomoc okazaną cesarzowi w chwili grożącego niebezpieczeństwa, odznaczony złotym medalem waleczności dla oficerów. (Woj. kwat. pras.)

ani na krok jeden do sukcesu materyalnego lub choćby tylko moralnego. Samo bowiem przedsiębranie ataków niczego nie dowodzi, jeżeli przed



Z frontów bojowych: Droga odwrotu Włochów z ponad Seccy w kierunku Tagliamento. (Fot. Bufa).





Stulecie Fredry:

„Pan Geldhab". P. P. Feldman (siedzi) Noskowski, Węgierko, Zarzycka, Jednowski i Mierzejewski.

Scena końcowa z „Intrygi na prędce". Stoją od lewej ku prawej pp. Mierzejewski, Jednowski, Majdrowiczówna, Czarnecka, Biesiadecki; siedzą: Jarniński i Szymborski

sięwzięciu nie towarzyszą w mniejszej lub większej mierze powodzenia.

Również na zachodnim froncie rozpoczęły się znowu gwałtowne walki. Jak donoszą ostatnie biuletyny, szczególnie zaciętą była walka pod Cambrai. Anglikom nie chodzi już tym razem o zyski terenowe, których znaczenie tak obniżył w głośnej swej przemowie Lloyd George, ale o uczynienie szerokiego wyłomu we froncie koło Cambrai, któreby zmusiło Niemców do odwrotu na większą skalę. W tym celu zastosowali nową taktykę, dotychczas jeszcze nie wypróbowaną, ufając widocznie, że ona będzie w stanie doprowadzić do przełamania frontu. Na czemże ta nowa taktyka polega?

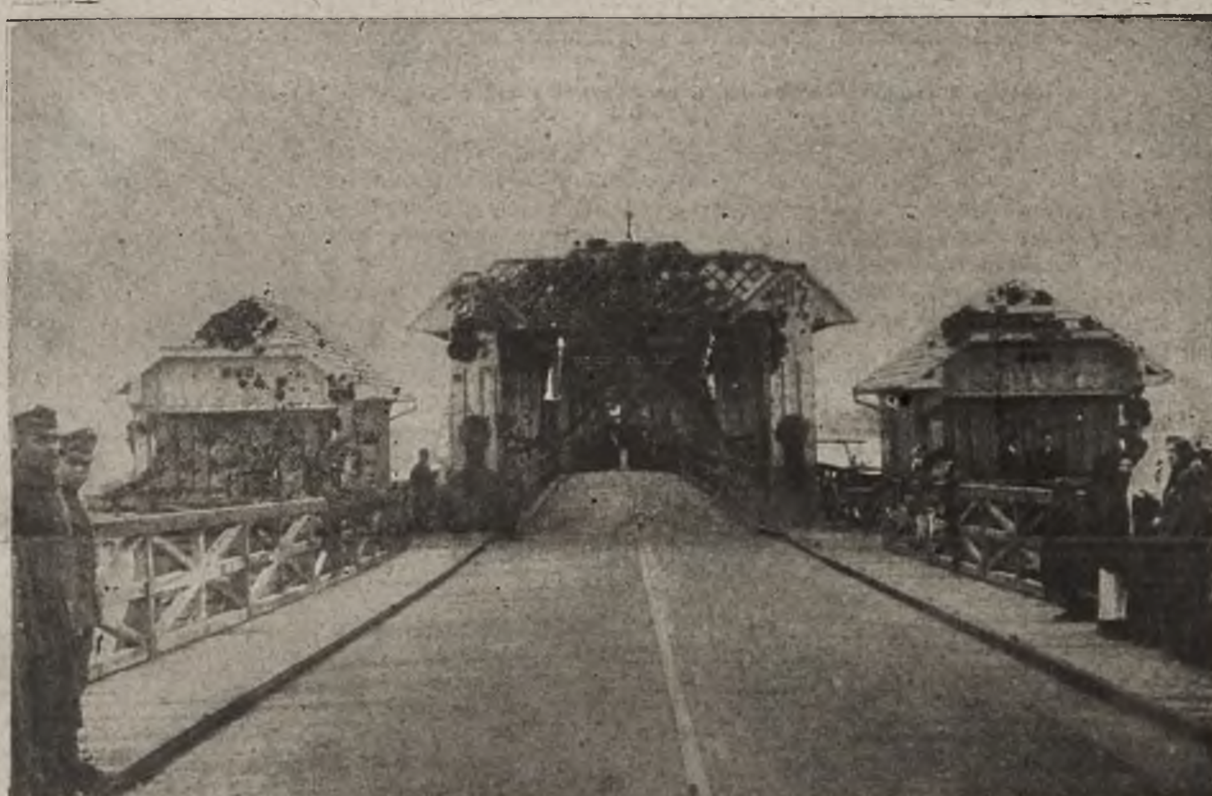
Ataki angielskie skierawane były wprost przeciw Cambrai, głównie zaś na gościniec ku Bapaume i na miasto, leżące nad górnym biegiem Szeldy. Angielski generał Byng, któremu jeneralissimus



Z frontów bojowych: Transport jeńców włoskich w ... linie Soczy. - (Fot. Bufa)

marsz. pol. Haig poruczył prowadzenie ataku, odrzucił tradycyjne już preludyum walki — całemi godzinami trwający ogień huraganowy — i dał hasło do ataku dnia 20 listopada o godzinie 7 rano, bez przygotowania artyleryjskiego. Twierdzi, iż w ten sposób niespodziewanie zaskoczył wojska niemieckie.

Obok jednak faktu zaskoczenia miało to zaniechanie ognia huraganowego, tak stale się w ostatnich bitwach z każdem usiłowaniem przełamania frontu łączącego, cel jeszcze donioślejszy na oku. Ogień huraganowy, wyrywając w terenie olbrzymie dziury i jamy, czynił cały teren niedostępnym dla specyalnie przez Anglików używanego środka ataku, jakim są od paru miesięcy „tanki". Zaniechanie ognia huraganowego zmierzało do tego przedewszystkiem, aby umożliwić atak „tankami". Równocześnie umożliwiało użycie wielkich mas konnicy, która dotychczas w atakach udziału brać nie mogła, z powodu nierówności terenowych. Istotnie w bitwie stoczonej 20. listopada, zdołali wyprowadzić Anglicy do boju ogromne ilości „tanków" i użyć swej konnicy, co im przyniosło niewątpliwy zysk na terenie, ale jak dotąd do zamierzonego przełamania nie doprowadziło. Co do „tanków" przynoszą pisma nie



Poświęcenie nowego mostu na Wiśle: Nowy most na Wiśle pod Annopolem w Królestwie Polskiem (Woj. kwat. pras



Z frontów bojowych: Zniszczone włoskie samochody ciężarowe na drodze do Cividale (Fot. Bufa



Z frontów bojowych: Ciężkie działa, pozostawione przez Włochów nad Tagliamento. (Woj. kwat. pras.)

niemieckie i szwajcarskie podają następujące szczegóły.

Na wiosnę b. r. po ofenzywie kwietniowej, kiedy „tanki" po raz pierwszy wystąpiły masowo, ogłosiła angielska administracya wojskowa, iż przystąpi do budowy 2000 tych kolosów i to jednych według modelu „męskiego", opatrzonych działami, drugich według modelu „żeńskiego", wyposażonych tylko w karabiny maszynowe. Zapowiedź ta o tyle sprawdziła się, iż na frontach angielskich — również i w Azyi — pojawiły się obecnie „tanki"



Z frontów bojowych: Kolumna trenu wojsk sprzymierzonych w czasie marszu w kierunku Flitsch. (Fot. Bufa.)

w znacznie większej niż przedtem ilości. Koło Cambrai naliczono ich 200. Według doniesień angielskich przełamały one niemieckie zasieki dla postępujących za nimi kolumn szturmowych. Miały także po przełamaniu przeszkód wyrządzić ogniem flankowym duże szkody wojskom niemieckim pierwszej linii. Wbrew bezwarunkowemu uznaniu ze strony angielskiej, doniesienia niemieckie twierdzą, iż artylerya niemiecka rozbijała tanki strzałami, wywracała je i wywoływała eksplozyę zbiorników z benzyną, tak, że załogę znajdowano zwęgloną. Także i bomby lotników niszczą tanki. Po bitwach pozostaje też wiele tanków rozrzuconych po całym froncie, spalonych i niezdolnych do działania.

Większą jeszcze sensacyę wywołuje użycie konnicy angielskiej. Już dawniej, jak np. we Flandryi, brała ona szwadronami udział w ataku. Pod Cambrai do dyspozycyi stały trzy pełne dywizye kawaleryi. Miały one po przełamaniu frontu, poza linią nieprzyjacielską wykonywać pościg. Dywizye te, jak się zdaje, zbliżyły się zanadto do przednich linii, a tem samem w obręb ognia wojsk niemieckich. Z dotychczasowych doniesień nie można ocenić, czy ruszyły także do ataku. Pewnem jest tylko, że dywizye te, poprzydzielane brygadami do atakowych oddziałów piechoty, poniosły ogromne straty. Na zachód od Noyelle jedną brygadę w zupełności zestrzelano. Punkt kulminacyjny ofenzywy angielskiej koło Cambrai został już, jak się zdaje, przekroczony.

Również i na froncie francuskim wzmogła się w ostatnich dniach czynność bojowa. Na przepojonem krwią pobojowisku pod Verdun wykonali Francuzi zapamiętały atak na front północny, nad wschodniem wybrzeżem Mozy. Uderzyli ławą szerokości 4 klm. pomiędzy Samogneux i Beaumont. Atak, zamiast rozbić przeciwnika, sam został rozbity, a atakującym przyniósł w rezultacie dotkliwe straty.

Stulecie Fredry.

W roku bieżącym, w październiku, minęło sto lat od wystawienia pierwszego utworu Aleksandra hr. Fredry na scenach polskich. Była nim jednoaktowa krotochwila p. t. „Intryga na prędce", którą wystawił ówczesny dyrektor teatru lwowskiego J. N. Kamiński.

Ku uczczeniu przypadającej obecnie rocznicy nieśmiertelnego twórcy „Ślubów panieńskich", teatr krakowski, pierwszy ze scen polskich, wystąpił z uroczystem uczczeniem tej daty, wystawiając ocalałą „Intrygę na prędce" i arcydzieło komedyowe Fredry, — „Pana Geldhaba".

Obsadę obu utworów tworzyli w „Intrydze" pp. Majdrowiczówna (Marysia), Jednowski (kasztelan), Mierzejewski (Edward), Jarniński (Michał) Szymborski (pocztylion) i Biesiadecki (Kmoti); w „Geldhabie" pp.: Zarzycka (Flora), Feldman (Geldhab), Węgierko (Książę), Mierzejewski (Lubomir), Jednowski (Major), Noskowski (Lisiewicz).

Stylową wystawę obu utworom nadał dekorator teatru znany artysta malarz p. Zygmunt Wierciak.



Z frontów bojowych: Zdobyte stanowiska włoskie na szczycie góry.



Z frontów bojowych: Jedno z najcięższych dział włoskiej artyleryi, zdobyte nieopodal Udine. (Fot. Bufa.)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: **Marya Segeny.**

2

— A więc porozmawiajmy, albo właściwie ułóżmy warunki.

— Warunki?

— A jakże pan myślał? Obrachowałem już wszystko. Wiem, że staliście się teraz posiadaczami trzech milionów i jestem przekonany, że nie macie panowie zamiaru zachować dla siebie tak kolosalnej sumy.

— Czy ty drwisz z nas, Paskalu?

— Bynajmniej, rozumuję tylko.

— Żądasz więc podziału?

— Z podziału przypadłoby dla mnie milion franków, a to jest za wiele. Wymagania mam skromne i zadowolę się mniejszą sumą, a pozatem nie narażałem się tak jak panowie w tej chwili i nie byłoby słusznie, abym na równi z wami zbierał korzyści z tego, co wyście panowie uczynili.

— Czego więc żądasz? — zapytał z zniecierpliwieniem starszy z braci.

— Czego żądam, zaraz to objaśnię...

Ale Paskal nie mógł dokończyć. Przerażony, blady, patrzał ku drzwiom sypialnego pokoju, nie wierząc własnym oczom. Chwiejnym krokiem, czepiając się drzwi i mebli, szedł ku nim starzec, wlokąc za sobą prześcieradło. Rysy jego twarzy były zmienione, pobladłe usta nie były wstanie wymówić słowa, ale oczy zdawały się zachować cały swój blask i energię.

Zajęci dokonaniem zbrodni, a następnie rozmową, bracia nie zwracali uwagi od dłuższego czasu na to, co się działo w przyległym pokoju, przekonani zresztą, że chory już zakończył życie.

Ale teraz na widok tego człowieka, który jak widmo stawał przed nimi, wyciągając groźnym ruchem kościstą, wychudłą rękę, jakgdyby oskarżał ich i przeklinał, strach śmiertelny wstrząsnął nimi, pozbawiając przytomności umysłu.

Instynktownie cofnęli się ku drzwiom, prowadzącym na korytarz.

Nieszczęśliwy starzec dojrzał wkrótce ciało, leżące bez życia na dywanie. Nadludzkim wysiłkiem przyczołgał się do niego i przyklęknął, wstrząsany spazmatycznem łkaniem.

— Zamordowany! — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem. — Zamordowany! przez tych nędzników! A przecież uczyniłem z nich bogatych ludzi. Nie mieli litości ani nad ojcem, ani nad synem. Bądźcie przeklęci! Niech sprawiedliwość boska i ludzka was dosięgnie! Napróżno się przed nią ukrywać będziecie. I na was przyjdzie godzina ostatecznego porachunku. Biedne dziecko! Przybywał tu szczęśliwy po przebaczenie moje i błogosławieństwo, a znalazł śmierć okrutną. Ah! Podli! Nikczemni zbrodniarze! Strzeżcie się sprawiedliwości!

Powstał z klęczek i wyciągnął ręce w stronę morderców, chcąc ostatnie przekleństwo rzucić na ich głowy, ale siły opuściły go nagle, głos zamarł w piersiach i wydawszy okrzyk stłumiony, osunął się ciężko na podłogę, uderzając głową o fotel.

Upadek ten jakgdyby oprzytomnił braci. Starszy podskoczył ku zwłokom, wołając na służącego.

— No, dalej! Na cóż czekać będziemy! Czy chcecie żeby nas ranek zastał w towarzystwie tych dwóch trupów, leżących tutaj? Trzeba go zanieść na łóżko, a tamtego ukryć gdzieś tymczasem. No, dalej, bierzmy się do roboty!

Ułożywszy starca w sypialnym pokoju, powrócili bezzwłocznie do zwłok syna, które wynieśli do małego saloniku, leżącego po drugiej stronie korytarza. W kwadrans później nie pozostało najmniejszego śladu z tragicznej sceny, która się tu rozegrała. Podłoga została starannie umyta, meble poustawiane we wzorowym porządku i cisza znów zaległa całą willę.

Skupieni w jednym rogu pokoju dwaj bracia i służący szeptali gorączkowo, omawiając dalsze plany działania i podziału majątku po nieżyjącym starcu.

Tak byli zajęci sobą, że nie zauważyli, że ranek już nadchodził powoli. Wicher nocny rozprószył ciężkie, ołowiane chmury, niebo zajaśniało i wkrótce słońce rzuciło pierwsze swoje promienie, złocąc szczyty drzew, szumiących lekko w parku.

Dzień, choć zimny, zapowiadał się radosny i słoneczny.

I nagle pośród tego przebudzenia natury, okazującej się w całej swojej świeżości i przepychu, wzbił się dźwięczny śpiew dziewczęcy, mieszając się z donośnym świergotaniem ptaków, ukrytych w gąszczach.

Głos ten podziałał w dziwny sposób na obydwu braci, którzy natychmiast przerwali rozmowę, prowadzoną ze służącym.

— Któż to śpiewa? — zapytał niespokojnie młodszy. — Ktoś się znajduje w ogrodzie!?

— To dziecko — odpowiedział niedbale Paskal.

— Skąd ono się tu wzięło?

— To siostrzenica moja — objaśnił służący odpowiadam za nią.

— Dziecko takie zdradzić nas może.

— Kiedy odpowiadam za nią — powtórzył żywo Paskal. — A zresztą uważać na nią będę.

— I dobrze uczynisz — rzekł starszy brat ostro — jeżeli ci chodzi o twoje i jej życie!

Lekarz umarłych.

Około południa Paskal, z polecenia braci, udał się do władz, oznajmiając śmierć starca, zamieszkującego willę.

Mogli teraz spokojnie oczekiwać nadejścia koniecznych formalności i oględzin lekarza okręgowego.

Pokój, w którym leżały zwłoki, urządzony był stosownie do okoliczności. Pospuszczano wszystkie żaluzye i firanki, tak, iż tylko mdłe światło wpadało z zewnątrz. Jedna tylko świeca paliła się w kandelabrze na kominku i od chwiejnego jej płomienia długie, fantastyczne cienie drżały po ścianach i podłodze.

Na szerokiem łóżku leżały zwłoki, przykryte białem prześcieradłem, a na stoliku nocnym stała szklanka z wodą święconą, w której zieleniła się gałązka bukszpanu.

Dotkliwe zimno i cisza głęboka ogarniała ten pokój żałobny.

Około godziny drugiej zadzwoniono do bramy ogrodowej. Podczas kiedy służący pobiegł otworzyć, obydwaj bracia pospieszyli uklęknąć u stóp łóżka, w postawie mającej świadczyć o wielkiej ich boleści i zgnębieniu. Jeden z nich nawet wyjął chustkę z kieszeni i zakrył do połowy twarz, na której nie było można nic innego wyczytać, nad zimną obojętność i przymus niecierpliwy.

Po chwili wszedł do pokoju starszy mężczyzna czarno ubrany.

Był to lekarz okręgowy, mający poświadczyć akt zejścia zmarłego.

— Oto są zwłoki — wyrzekł Paskal, wskazując zwłoki.

Lekarz podszedł, skłoniwszy się w milczeniu przed braćmi, pogrążonymi w modlitwie.

Odrzucił prześcieradło, pokrywające ciało starca, umiósł lekko powieki, zbadał puls i przyłożył do ust sinych maleńkie lusterko.

Poczem usiadł przy biurku, które znajdowało się w pokoju i zażądał papieru i atramentu.

— Kto jest najbliższym krewnym zmarłego? — zapytał, kiedy mu podano żądane przedmioty.

— My jesteśmy najbliższymi krewnymi — odparł starszy z braci, powstając i siadając obok lekarza.

— Pan jest jego synem?

— Niestety nie. Nasz biedny wuj nie miał tej radości, aby módz uściskać przed śmiercią synów swoich. Zniknęli od lat wielu i wszelki ślad po nich zaginął.

— Więc panowie jesteście jego siostrzeńcami? — badał dalej lekarz.

— Tak, proszę pana.

— Na jaką chorobę umarł wuj panów?

— Na chorobę bardzo niebezpieczną w tym wieku, na zapalenie płuc.

— Kto był jego lekarzem domowym?

Brat młodszy, który również powstał i podszedł do rozmawiających, wymienił jakieś nazwisko.

Doktór spisał wszystkie otrzymane odpowiedzi, poczem raz jeszcze przystąpił do oględzin zwłok.

— Członki zdradzają jakieś konwulsyjne naprężenie — wyrzekł po chwili baczniejszej obserwacyi — zęby zaciśnięte i usta wykrzywione skurczem.

Mówiąc to lekarz równocześnie odkrył czoło zmarłego, przykryte fularową chustką. Znaczyła je duża, ciemna rana, spowodowana ciężkiem uderzeniem o ostry kant fotelu.

— Co to ma znaczyć? — zapytał ze zdziwieniem lekarz — Skąd ta rana na czole?

Nieoczekiwane to zapytanie odbiło się śmiertelnem przerażeniem na twarzach braci. Spojrzeli na siebie w milczeniu, niewiedząc, jaką dać odpowiedź. Nawet niewzruszony Paskal zadrżał w głębi duszy, czując teraz wyraźnie, że i on wmieszany może być jako wspólnik do zbrodni popełnionej na synu zmarłego hrabiego.

Ale z tych trzech ludzi, dręczonych teraz temi samemi obawami oprzytomniał najszybciej starszy siostrzeniec. Przez chwilę walczył zawzięcie ze wzruszeniem tamującem mu oddech piersi ale w końcu zwrócił na lekarza pewne i śmiałe spojrzenie.

— Nasz biedny wuj zaczął głosem poważnym — miał koniec bardzo ciężki. Przez piętnaście dni czuwaliśmy z bratem przy jego łóżku. Jednej nocy zwalczeni zmęczeniem i bezsennością, spoczęliśmy trochę w przyległym pokoju, pozostawiając wuja na opiece służącego. Ale na nieszczęście gorączka silna objęła chorego, który nieprzytomny zaczął się wyrywać z łóżka. Wystraszony służący przybiegł nas obudzić, ale w czasie tej krótkiej chwili wuj wyskoczył z łóżka z siłą, którejśmy się po jego osłabieniu nie spodziewali, lecz uszedłszy zaledwie kilka kroków, upadł ciężko na podłogę i w ten sposób zadał sobie ranę, którą pan widzi.

Wyjaśnienie zgodne zresztą z rzeczywistością wydało się zupełnie naturalne lekrzowi. Jednakże w akcie stwierdzającym śmierć starego hrabiego uczynił wzmiankę, że przyspieszoną została nagłym wypadkiem. Następnie włożył akt do koperty, zapieczętował starannie i wręczył ją starszemu z braci z poleceniem odesłania jej natychmiast do urzędu gminnego.

— — — — — — — — — — — — —

Reszta dnia zbiegła mieszkańcom willi w gorączkowem oczekiwaniu. Obecność zwłok drugiej ofiary, ukrytych w saloniku, wzbudzała niepokój morderców, ciężąc ponuro nad ich myślami. Z upragnieniem czekali nocy, by je wynieść i zakopać w bezpiecznem miejscu.

Nareszcie chwila stosowna nadeszła.

Pogoda stała się znowu niepewna. Ciepły, południowy wiatr pędził ciemne chmury po niebie i deszcz gwałtowny spadał w pewnych odstępach czasu. Księżyc wychodził z za chmur, otoczony rdzawą poświatą, rzucając na park rozciągający się pod oknami willi, matowo srebrne światło — to znowu krył się szybko, szarym cieniem pokrywając ziemię.

Około godziny dziwiątej wieczorem, bracia zawezwali do gabinetu służącego. Otrzymał on rozkaz sprowadzenia bezzwłocznie przed furtkę ogrodową powozu krytego, który zamówiony już wcześniej przez nich, oczekiwał o parę set kroków od willi. Gdy to już załatwionem zostało, starszy z braci wyłożył swój zamiar, tyczący się usunięcia zwłok młodego człowieka.

— Musimy załatwić to w ten sposób — wyrzekł twardym, pewnym głosem — aby zwłok nikt odkryć nie mógł. Gdyby to nastąpiło kiedykolwiek, wiedzianoby natychmiast, że nie zginął on zwyczajną śmiercią i identyczność jego łatwo skonstatowanąby została, albo przez jego przyjaciół, albo przez ludzi, u których mieszkał, zanim tu przybył. W takim wypadku kogóż oskarżonoby o popełnienie zbrodni? Tych przedewszystkiem, którzy na śmierci tego człowieka skorzystać mogli, a więc nas.

Na tę logiczną uwagę młodszy brat pobladł gwałtownie.

— To trudno, mój kochany! Teraz lękasz się, nieprawdaż? Wiedziałem doskonale co do mnie, zabierając się do tej sprawy, że jeżeli się posiada dosyć zręczności i ostrożności, można sobie pozwolić na zaryzykowanie czegoś podobnego. Jeżeli ciało kuzyna naszego odnalezionem nie zostanie, nikt nie pomyśli o tem, że on już nie żyje. Będą przypuszczać, że wyjechał do Indyi lub gdziekolwiek indziej. Cóż wiecie co postanowiłem uczynić, aby nas uchronić od tej ewentualności?

— Mów, mów! — zawołał brat młodszy gorączkowo.

— A więc pomyślałem o zamianie.

— Nie rozumiem cię!

— To znaczy, zamiast pogrzebać jutro ojca...

— Co, co ty mówisz?!...

— Pogrzebiemy syna.

— Ale w jaki sposób to uczynić?

— W bardzo łatwy. Położymy zwłoki naszego kuzyna do trumny ojca.

— Ale jeżeli ta zamiana odkrytą zostanie, jesteśmy zgubieni.

— Nie może być odkrytą! Zabijemy trumnę zanim nadejdą ludzie z zakładu pogrzebowego. Rzecz taką łatwo zrobić można. Wspomnij się, że zwłoki uległy szybkiemu rozkładowi.

— Ale co zrobimy z tamtemi zwłokami.

— Wrzucimy je do Sekwany.

— Ale czy pomyślałeś nad tem, że woda je wyrzucić może tego samego dnia jeszcze?

— No więc cóż z tego? Ponieważ nikt wiedzieć nie będzie kto to jest, zwłoki pogrzebane zostaną i cała rzecz będzie załatwiona.

— Czy jesteś pewny, że nie będziemy mieć z tego powodu dochodzeń?

— Naiwny jesteś! Komuż przyjdzie na myśl, że to wuj nasz?

— Pomysł ten jest wcale dobry — odezwał się z uznaniem, milczący dotąd służący.

— A więc bierzmy się do roboty! — zawołał brat młodszy, podniecony temi słowami — Chciałbym, żeby już było po wszystkiem.

Paskal, na rozkaz otrzymany, udał się zaraz do gabinetu, skąd wydobył ciało młodego człowieka i złożył je na podłodze w sypialnym pokoju, lecz kiedy przystąpił do zwłok starca, szmer jakiś dobiegł z ogrodu i zwrócił uwagę w tamtę stronę.

— Tam ktoś jest? — szepnął jeden z morderców, patrząc z przerażeniem w okno.

Służący odszedł od łóżka, ostrożnie uchylił firankę i przez chwilę bacznie spoglądał w ogród.

— To nic! — rzekł spokojnie — To liście szeleszczą na drzewach.

— Czy jesteś pewny, że siostrzenica twoja śpi w swoim pokoju?

— Nie miałem dziś czasu zajmować się nią, ale wiem, że o tej porze spi głęboko. Nie traćmy czasu na takie dzieciństwa - dodał służący, przystępując z powrotem do łóżka.

Po upływie dwudziestu minut wszystko było gotowe.

Zwłoki młodego człowieka leżały w trumnie zamkniętej, ciało zaś starego hrabiego przebrane w inne suknie dla zmylenia pozorów, służący uniósł boczną furtką do oczekującego powozu.

Na prawej ręce trupa błyszczał wspaniały pierścień olbrzymiej wartości. Nie zdjęto go aby w razie znalezienia ciała podsunąć można myśl samobójstwa ofiary. Służący jednak przysiągł sobie w duchu ściągnąć go z palca, w ukryciu przed braćmi. On to miał polecenie zanieść zwłoki do powozu oczekującego przy bocznej furtce ogrodu.

Czynność ta wykonana została ostrożnie, bez użycia światła, aby nie ściągnąć niczyjej uwagi.

Ogród zresztą pogrążony był w ciszy. Jednak, kiedy ponury ten orszak skręcał w wązką, zacienioną ścieżkę, zdawało się braciom, postępującym za służącym, że ujrzeli cień jakiś, przesuwający się szybko pomiędzy drzewami. Ale ponieważ widzenie to nie powtórzyło się i że księżyc, pokryty chmurami, co chwila wywoływał ciągłe fantastyczne zmiany światła, szli dalej w przekonaniu, że ulegli pomyłce.

A przecież nie była to pomyłka.

Za klombem gęsto rozrośniętych drzew stała młoda dziewczyna, dziecko prawie, odrętwiała z przerażenia i zgrozy. Z trudnością wstrzymywała okrzyk, rozdzierający jej piersi, lecz instynkt jakiś nieokreślony nakazywał jej milczenie w obronie własnego bezpieczeństwa.

Była to siostrzenica służącego Paskala.

Wiedziała, że w willi znajdują się zwłoki starego hrabiego. Wieczorem, pozostawiona sama, bez opieki i światła, ogarnięta głuchym lękiem, wybiegła z pokoju, gdzie przebywała dzień cały i udała się do ogrodu. Dłuższy czas błądziła po ścieżkach parku, spoglądając niecierpliwie w okno swojego pokoju w oczekiwaniu, że przecież wuj jej nadejdzie ze światłem.

Około godziny wpół do dziesiątej posłyszała ciężkie kroki kilku ludzi. Dobiegł ją zmieszany szept głosów, pośród których rozróżniła głos wuja i lęk jej spotęgował się jeszcze na myśl, że zastać ją może o tak spóźnionej godzinie w parku, kiedy oddawna powinna już była spoczywać w łóżku.

Ukryła się więc za drzewa, trzęsąc się nerwowo, obezwładniona widokiem, jaki nagle uderzył jej oczy.

Wązką ścieżką, wśród drzew, szedł Paskal niosąc ciężar jakiś, który wkrótce rozeznać już dobrze mogła. Było to ciało człowieka, zwisające ramionami ku ziemi; za ciałem tem postępowali dwaj mężczyźni, siostrzeńcy zmarłego hrabiego.

Młoda dziewczyna, oszalała z przerażenia, patrzała chwilę rozszerzonemi oczami, poczem osłabiona wzruszeniem, opadła bez przytomności na trawnik.

Tymczasem żałobny pochód oddalił się już.

Mężczyźni wraz ze zwłokami wsiedli do powozu, który szybko ruszył ku lewym brzegom Sekwany.

Była już prawie północ, kiedy powóz zatrzymał się nareszcie. Paskal, który sam kierował końmi, zeskoczył z siedzenia i oddalił się trochę, bacznie rozglądając się w około, w końcu zeszedł po kamiennych stopniach aż na sam brzeg rzeki. Kilka łódek kołysało się na wodzie. Przywiązane one były krótkimi łańcuchami do słupów, sterczących nad powierzchnią wody, ale w żadnej z nich nie było nikogo.

Paskal powrócił więc natychmiast do powozu, mówiąc do czekających towarzyszów:

— Pora sposobna, wybrzeże całkiem puste, nie dojrzałem nigdzie żywej duszy... Musimy się spieszyć, aby nam kto nie przeszkodził.

Ale w tej samej chwili krok przyspieszony rozległ się niedaleko nich.

— Ktoś nadchodzi — szepnął jeden z braci.

— Nie traćmy przytomności — rzucił zimno służący i skoczył szybko odpiąć pas od dyszla powozu.

Nadchodzący był rybakiem, który po spóźnionej pracy powracał do swojego domu.

— Wydarzył się wam wypadek? — zapytał przystając.

— Oh, nic wielkiego! — odpowiedział Paskal. — Pas się mi odpiął tylko.

— Może wam pomódz?

— Niema czego, już go zapiąłem na nowo.

Rybak oddalił się, nie podejrzywając nic złego. Mordercy odetchnęli z ulgą i jak tylko zamilkł odgłos jego kroków, pobiegli do powozu, wydobyli ukryte w nim zwłoki i unieśli je pospiesznie ku Sekwanie.

Brzeg był dosyć nizki. Zsunęli ostrożnie ciało pomiędzy dwie łódki i wkrótce ciemne fale pochłonęły je bez śladu. Ostatnia scena tragicznego dramatu została szczęśliwie rozegrana.

W parę minut później powóz, unoszący morderców i ich wspólnika, toczył się szybko brzegiem rzeki ku miastu. Wszystkie ostrożności zostały zachowane. Postanowili dla zmylenia pozorów nie wracać tą samą drogą, tylko dojechawszy do mostu w Charenton, przedostali się na drugie wybrzeże i przez Bercy, Tournelle, przedmieście Saint-Marceau powrócili do willi główną, wjazdową bramą przez park. Nikt nie odkrył tej tajemnicy nocnej wycieczki, nikt nie domyślił się jej celu, prócz młodej dziewczyny, siostrzenicy służącego Paskala.

Wkrótce po zniknięciu morderców, chłód nocy przywrócił jej przytomność umysłu i kiedy przypomniała sobie wszystko, lęk i zgroza objęły ją znowu z taką siłą, iż długą chwilę leżała na wilgotnej trawie, nie mogąc się poruszyć. Ale niedługo myśl, że mogą ją tu zastać i domyśleć się, że była świadkiem tej okropnej, tajemniczej sceny, otrzeźwiła ją zupełnie. Powstała, chcąc uciec z ogrodu i znaleźć się jak najprędzej w swoim pokoju, gdzie czułaby się bezpieczniejszą, kiedy nagle dostrzegła coś błyszczącego na ziemi. Chwilę namyślała się, nie będąc pewną, co to być może, ale w końcu, przyciągnięta tym świecącym przedmiotem, pochyliła się szybko wyciągając rękę.

Był to wspaniały, szeroki pierścień złoty, z brylantem rzucającym oślepiające błyski.

Zesunął się on z palca ofiary, wleczonej przez Paskala po ogrodzie i niedostrzeżony przez niego wpadł w trawę, dosyć wysoką w tem miejscu.

Mała olśniona i zachwycona zgubą, nie zastanawiając się długo, ukryła go prędko w kieszeni i pobiegła przez ogród ku willi.

Kiedy po upływie pół godziny Paskal wszedł ze świecą do jej pokoiku, nie przebudziła się na jego wejście i odwrócona ku ścianie spoczywała snem głębokim.

Nazajutrz nie wspomniała nikomu o znalezionem pierścieniu w obawie, aby ją nie zmuszono do wyjaśnienia, w jaki sposób i gdzie go znalazła i zaprzysięgła sobie tragiczne widzenie tej nocy zachować w głębokiej tajemnicy.

Trzeciego dnia w dziennikach porannych można było wyczytać następującą notatkę:

„Parę dni temu, człowiek trzydziesto-kilkoletni zajechał do jednego z hoteli przy ulicy Św. Jakóba. Tego samego dnia wieczorem, pomimo silnej, szalejącej burzy i przestróg właściciela hotelu wyszedł, mówiąc, że powróci nad ranem. Miał podobno jakąś ważną rodzinną sprawę do załatwienia. Dotąd człowiek ten nie pojawił się w hotelu.

Właściciel, zaniepokojony długą nieobecnością gościa, czynił bezskuteczne poszukiwania za nim, kiedy dzisiaj rano doniesiono mu o znalezieniu zwłok, wydobytych z Sekwany koło skweru Oesvres. Udał się więc natychmiast do morgi, lecz tam skonstatował, że nie są to zwłoki jego lokatora, człowieka młodego jeszcze, lecz starca blizko siedmdziesięcioletniego.

Podwójna więc tajemnica, którą trudno będzie rozświetlić, otacza ciało wydobyte z Sekwany i nagłe zniknięcie podróżnego z hotelu Świętego Jakóba.

Nocny gość.

Na rogu ulicy de la Harpe i ulicy Serpente wznosił się dom kilku-piętrowy, o zniszczonym i niesympatycznym wyglądzie. Zwrócony on był ku północy i słońce nie zaglądało tu nigdy, aby choć trochę rozjaśnić szare, brudne mury, parujące wilgocią.

Przez główną bramę, wązką i wysoką, wchodziło się do sieni, długiej i ciemnej zawsze.

Przy końcu tej sieni, po prawej stronie, widniało tylne wejście do restauracyi trzeciorzędnej, po lewej zaś stronie, ciągnęły się kamienne schody, prowadzące na wyższe piętra, w których mieściły się pokoje umeblowane.

Im wyżej wychodziło się na piętra, tem pokoje znajdujące się tam, stawały się bardziej opustoszałe i nędzniejsze. Były one natomiast widniejsze cokolwiek.

Pod samym strychem umieszczone były dwie mansardy łączące się z sobą i tworzące szczupłe, bardzo skromne mieszkanie bez mebli i bez przestrzeni. Powietrze i światło, nie krępowane sąsiednimi domami, wpadało tu w dostatecznej obfitości.

W pierwszej mansardzie stało tylko łóżko i dwa krzesła. Łóżko było drewniane i niegdyś na biały kolor pomalowane, dziś zszarzałe i miejscami wyżarte zupełnie. Leżał na niem siennik z resztkami wygniecionej, posiekanej jak trociny słomy, przykryty cienkim, twardym materacem, za wielkim na to łóżko i opadającym melancholijnie po bokach prawie aż do ziemi. Na wszystko to zarzucona była kołdra ciemna i pozszywana kawałkami materyi rozmaitego koloru. Stolki, a właściwie fotele, pokryte były, jeden adamaszkiem niebieskim, drugi czerwonym aksamitem, z których pozostały tylko brudne, wymięte strzępy.

Z drugiej mansardy, lokator urządził sobie gabinet do pracy.

Znajdował się tam stół okrągły, nad którym wisiały półki z książkami, stolek założony papierami i zeszytami i wytarty zrudziały fotel skórzany.

W chwili, w której zaczyna się niniejsze opowiadanie, pokoik ten, do którego wpadają promienie księżyca przez niewielkie okienko, ma dosyć sympatyczny wygląd, pomimo nędzy i pustki, wiejącej z każdego kąta.

Przy stole, z czołem pochylonem nad grubą książką, siedzi młody człowiek, w postawie zdradzającej silne natężenie umysłu.

Ma lat dwadzieścia pięć, chociaż wygląda o kilka lat starzej. Twarz jego blada, o regularnych rysach, jaśnieje głębokim wyrazem inteligencyi i skupienia. Czoło wysokie, okolone jest falą gęstych, czarnych włosów, zaczesanych w tył niedbale, spadających aż na szyję.

W ciemnych oczach pali się gorący płomień ciekawości i marzycielstwa. Wydatne usta i nos zarysowany energicznie, o niespokojnych, poruszających się ustawicznie nozdrzach, świadczy o bujnej namiętnej naturze, dręczonej ambitnemi pragnieniami. Już od kilku godzin zajęty jest pracą absorbującą go tak silnie. Pochyla się coraz niżej nad książką rozłożoną na stole, nerwowo przeciera ręką zmęczone oczy, błądzące już z trudnością po drobno zadrukowanych kartkach.

Nagle gwałtownym ruchem uniósł i odsunął książkę od siebie. W oczach jego błyszczał ogień gorączkowy. Poczem wstał i szybkimi krokami zaczął przebiegać pokój.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Rokowania pokojowe Austryi i Niemiec z Rosyą.

Do naczelnej komendy armii nadeszła niezupełna depesza iskrowa, która, o ile to było możliwem, została uzupełniona Brzmi ona jak następuje:

Carskie Sioło 28 listopada 1917.

Do rządów krajów prowadzących wojnę.

Zwycięska rewolucya robotnicza i włościańska w Rosyi postawiła na czele sprawę pokoju. Okres wahań, odraczań i biurokratyzmu minął. Obecnie wzywa się wszystkie rządy, wszystkie warstwy, wszystkie stronnictwa wszystkich krajów prowadzących wojnę do dania kategorycznej odpowiedzi na pytanie, czy zgadzają się one na przystąpienie wraz z nami do rokowań w sprawie natychmiastowego rozejmu i ogólnego pokoju, czy też nie. Od odpowiedzi na to pytanie zależy, czy unikniemy nowej kampanii zimowej z wszystkiemi jej srogościami i nieszczęściami, czy też Europa będzie w dalszym ciągu pławiła się we krwi.

My, rada komisarzy ludowych, zwracamy się z tem pytaniem do rządów naszych sojuszników: Francyi, Anglii, Włoch, Stanów Zjednoczonych Ameryki, Belgii, Serbii, Rumunii, Japonii i Chin.

Zapytujemy przed obliczem ich własnych ludów, przed obliczem całego świata, czy zgadzają się na przystąpienie do rokowań pokojowych.

My, rada komisarzy ludowych, zwracamy się do związanych z nami sojuszem ludów, w pierwszym rzędzie do pracujących mas, czy pragną w dalszym ciągu prowadzić te bezmyślne mordy i iść ślepo na drodze, wiodącej do zaniku kultury europejskiej. Żądamy, aby partye robotnicze związanych z nami sojuszem krajów. odpowiedziały bezzwłocznie na pytanie. czy godzą się na rozpoczęcie rokowań pokojowych.

To pytanie stawiamy na czele.

Pokój, któryśmy zaproponowali, ma być pokojem ludów, ma on być pokojem honorowym, pokojem porozumienia, który każdemu ludowi zapewni wolność gospodarczego i kulturalnego rozwoju.

Rewolucya włościańska i robotnicza podała do wiadomości swój program. Opublikowaliśmy tajne układy cara i burżuazyi z sojusznikami i ogłosiliśmy te układy za niewiążące narodu rosyjskiego.

Proponujemy wszystkim ludom publicznie nowy układ, oparty na podstawach porozumienia i współpracy.

Na nasze propozycye odpowiedzieli oficyalni i półoficyalni reprezentanci klas rządzących krajów, związanych z nami sojuszem, odmawiając rządowi rad uznania i nie zgadzając się na porozumienie się z nami w sprawie rokowań pokojowych.

Rząd zwycięskiej rewolucyi nie posiada uznania zawodowej dyplomacyi. Ale pytamy się ludów, czy reakcyjna dyplomacya potrafi urzeczywistnić swe myśli i dążenia, czy ludy pozwolą dyplomacyi nie zrealizować wielkiej możliwości pokojowej, którą zrodziła rosyjska rewolucya. Odpowiedź na to pytanie... (Tu brak słów w depeszy)

Precz z kampanią zimową. Niech żyje pokój i zbratanie się ludów!

Komisarz ludowy dla spraw zagranicznych

Trocki.

Przewodniczący rady komisarzy ludowych

Uljanow Lenin.

Na telegram ten c. i k. rząd udzielił rządowi rosyjskiemu następującej odpowiedzi:

Rząd austro-węgierski otrzymał okrężny telegram rady komisarzy ludowych z d. 28 listopada b. r., w którym rząd rosyjski oświadcza gotowość rozpoczęcia rokowań w sprawie zawarcia rozejmu i ogólnego układu pokojowego.

Podane przez rząd rosyjski wytyczne dla mającego się zawrzeć rozejmu i układu pokojowego. w sprawie których oczekuje rząd rosyjskiej republiki kontrpropozycyi, tworzą według zapatrywania austro-węgierskiego rządu odpowiednią podstawę do rozpoczęcia tych rokowań.

Rząd austro węgierski oświadcza dlatego gotowość wejścia w zaproponowane przez rosyjski rząd rokowania w sprawie zawarcia natychmiastowego zawieszenia broni i ogólnego pokoju.

C. i k. minister spraw zagranicznych

hr. Czernin.

Sprawa polska w tajnych traktatach koalicyi.

Rząd bolszewicki rozpoczął publikacyę tajnych dokumentów. Depesza tajna Sazonowa do posła rosyjskiego w Paryżu z 9. marca 1916 zaleca mu trzymać się na najbliższej konferencyi w Paryżu następujących zasad politycznych: Zawarte podczas wojny polityczne układy między sojusznikami mają pozostać nienaruszone i nie mogą podlegać rewizyi. Tyczy się to układu Rosyi z Francyą i Anglią w sprawie Konstantynopola, Sundu, Syryi i Azyi Mniejszej, jakoteż londyńskiej umowy z Włochami. Wszystkie wnioski w sprawie ustalenia przyszłych granic środkowej Europy byłyby dziś przedwczesne. Na ogół trzeba zapewnić, że gotowiśmy zostawić Francyi i Anglii zupełną swobodę przy ustalaniu zachodnich granic Niemiec, ponieważ liczymy na to, że sojusznicy nasi pozostawią nam także wolną rękę w ustalaniu naszych granic ku Niemcom i Austryi. Niezbędnem jest przedewszystkiem żądać, aby sprawa polska została usunięta z pośród zagadnień, mających być tematem rokowań międzynarodowych, należy przeszkodzić wszelkim próbom postawienia przyszłości Polski pod wpływ i kontrolę mocarstw. Co do państw skandynawskich, to musi się dążyć do powstrzymania Szwecyi od nieprzyjacielskiego wystąpienia przeciw nam i pomyśleć wczas o pozyskaniu Norwegii dla nas, gdyby się nie udało uniknąć wojny ze Szwecyą. Rumunii obiecano już wszelkie korzyści polityczne, tak, że w tym kierunku nie potrzeba już dalszej akcyi. Sprawę wyparcia Niemiec z chińskiego rynku należy odroczyć do konferencyi, w której weźmie udział zastępca japoński.

Wolność i niepodległość wszystkich ludów Rosyi.

Rosyjski dziennik „Prawda" ogłasza następujące obwieszczenie nowego rządu:

„Rewolucya rosyjska rozpoczęła się pod znakiem powszechnego oswobodzenia. Chłopów należy wyrwać z pod władzy właścicieli obszarów ziemskich. Nie masz więcej prawa własności ziemskiej. Usieważniliśmy je. Żołnierzy i majtków oswobodziliśmy z pod władzy generałów autokratycznych. Odtąd będzie się generałów wybierać i będą mogli być usuwani. Fabryki i warsztaty przechodzą pod kontrolę robotników. Musimy oswobodzić lud, który jeszcze cierpi. Za panowania caratu władze podszczuwały jedne warstwy ludu przeciw drugim. Skutkiem tego były pogromy i gnębienie. Tę bezwstydną politykę podszczuwania jednych przeciw drugim usunęliśmy. Nie powróci ona już nigdy. Musimy uprawiać politykę opartą na wolnym i uczciwym sojuszu wszystkich narodów zamieszkujących Rosyę.

Po rewolucyi lutowej kadeci i ich zwolennicy rozpoczęli prześladowania i prowokacye, ale już pierwszy lipcowy kongres sowietów proklamował prawo narodów do postanawiania o sobie, a drugi kongres listopadowy potwierdził tę zasadę.

Teraz rada komisarzy ludowych postanowiła celem zapewnienia wolności ludów co następuje:

1) Zapewniona ma być wolność i suwerenność wszystkich ludów Rosyi. Narodom, które nie mogą jeszcze utworzyć samoistnego państwa, gwarantuje się prawo postanawiania o sobie.

2) Wszelkie narodowe przywileje i ograniczenia zostają usunięte. Mniejszości narodowe otrzymują zupełną swobodę rozwoju.

Szczegółowe zarządzenia opracuje specyalna komisya.

Ludowcy o sprawie polskiej.

W dniu 25 z. m. odbyły się w Tarnowie narady członków Rady Naczelnej Polskiego Stronnictwa Ludowego pod przewodnictwem posła Bojki. Sprawozdanie z działalności klubu posłów tego stronnictwa złożył poseł Witos, a o sprawie polskiej w chwili obecnej mówił poseł Rey. Na zebraniu tem uchwalono między innemi następujące rezolucye:

W sprawie polskiej:

„Rada Naczelna P. S. L. oświadcza, że stojąc niezłomnie i niezachwianie na gruncie uchwały Koła sejmowego z 28 maja 1917 roku, poleca klubowi posłów P. S. L., aby dołożył wszelkich starań i użył wszelkich środków, celem zupełnego zrealizowania tej uchwały, zastrzegając się jaknajenergiczniej przeciw jakiejkolwiek działalności, osłabiającej tę uchwałę.

Rada Naczelna wita obudzenie się świadomości narodowej w prastarej Piastowskiej dzielnicy śląskiej i zobowiązuje swoją reprezentacyę polityczną do unicestwienia wszelkich zakusów, zdążających do oderwania Śląska od Polski.

Rada Naczelna piętnuje wszelkie zakusy lub tłumaczenia, osłabiające znaczenie uchwały 28 maja jako odstępstwo narodowe i spaczenie myśli państwowej polskiej.

W przekonaniu zaś, że tylko jednolita działalność całego narodu może go doprowadzić do celu, w uchwale tej wyrażonego, Rada Naczelna wzywa Klub parlamentarny do wytworzenia ciała, w skład którego weszliby przedstawiciele trzech zaborów. na tymsamym co P. S. L. programie stojący, celem ujednolicenia polityki polskiej".

W sprawie Legionów:

„Rada Naczelna P. S. L., wychodząc z założenia, że kadrami tworzonej armii polskiej mogą być tylko Legiony i to w swoim pierwotnym składzie, jako najbardziej gwarantującym niezależny polski charakter wojska, zwraca się z gorącym apelem:

1) do dostojnej Rady regencyjnej, jako najwyższej obecnie władzy tworzącego się państwa polskiego, przedstawiając jej konieczność energicznego wystąpienia w sprawie więzionych w Magdeburgu Józefa Piłsudskiego i Kazimierza Sosnkowskiego, oficerów legionowych w Havelbergu i R stadt, internowanych na prawach jeńców wojennych żołnierzy i oficerów polskich w Szczypiórnie, Beniaminowie, czy gdzieindziej. Tworzenie wojska polskiego musi być poprzedzone aktem, uwalniającym wyżej wymienionych i powołującym ich do służby wojskowej;

2) zwraca się do dostojnej Rady regencyjnej z przedstawieniem konieczności i ustalenia dla wojska polskiego nowej formuły przysięgi. która by wyraźnie mówiła o posłuszeństwie dla polskiej władzy państwowej i dowództwa od niej zależnego;

3) zwraca się równocześnie do Koła polskiego, by jak najenergiczniej wystąpiło z żądaniem zupełnej abolicyi w sprawie oficerów i żołnierzy legionowych, oskarżonych o zbrodnię rokoszu, tudzież umożliwienia wszystkim oficerom i żołnierzom, wcielonym obecnie do armii, powrotu do Polskiego Korpusu Posiłkowego, jako kadry armii polskiej, bez krzywdy dla ich honoru, jako polskich żołnierzy;

4) Rada Naczelna P. S. L., wychodząc z założenia, że ogół oficerski i żołnierski Legionów stanowił zawsze jednolitą i zdrową moralnie całość, z całą siłą odpiera zarzuty, skierowane pod adresem wojska, tem mocniej jednak piętnuje demoralizującą akcyę jednostek, które, powolne wpływom zewnętrznym, w zdrowy pod względem narodowym organizm Legionów usiłowały wnosić element rozkładu i paczyć ich polski charakter".

Zakończenie procesu Legionistów.

Do pism krakowskich donoszą z Przemyśla: Komendant Polskiego Korpusu Posiłkowego pułkownik Zygmunt Zieliński, korzystając z praw swych jako komendant właściwy, zarządził dnia 23 z. m. na mocy paragrafu 470 postępowania karno wojskowego wstrzymanie postępowania karnego na czas nieograniczony przeciwko wszystkim oficerom i żołnierzom legionowym, oskarżonym o zbrodnię rokoszu i nakazał natychmiast uwolnić uwięzionych z aresztów sądu polowego.

Rozkaz pułkownika Zielińskiego obejmnie sprawy uwięzionych w Przemyślu oraz liczne sprawy oficerów i żołnierzy, pozostających na wolności, a oskarżonych o zbrodnię rokoszu lub niesubordynacyi w związku z niedawnem przesileniem w Legionach. Na mocy powyższego rozkazu wypuszczono na wolność czterech oficerów (kapitan Tokarzewski, Sikorski, porucznik Więckowski i podporucznik Klarner) oraz trzydziestu żołnierzy. Wszyscy uwolnieni — w myśl poprzednio wniesionych podań — zostali zwolnieni z Legionów celem przejścia do c. i k. armii.

Kronika tygodniowa.

Aby przecież raz zadowolnić tych, którzy narzekają na mnie za zbyt częste poruszanie spraw aprowizacyjnych, zaczynam bodaj niniejszą kronikę od czego innego, choć; kto wie, czy natura nie pociągnie wilka do lasu, to jest, nie skieruje mego pióra na tory aprowizacyjne.

Jak P. T. Czytelnikom zresztą wiadomo, kronikę tygodniową zaczynam już w sobotę, by mogła się znaleźć w świecie aż... we czwartek. Co się stanie w międzyczasie, to musi być z natury rzeczy odłożone na następny tydzień, w przewidywaniu więc i kombinacye polityczne, na tak daleki dystans, gdy każdy dzień może przynieść niespodziankę, bawić się trudno. Wybiera się więc materyały, mogące być aktualnymi tak dziś, jak i za tydzień, o reszcie dowiadują się Czytelnicy z telegramów i notatek pism codziennych.

Według zwyczaju przygotowałem więc sobie papier, pióro i atrament już w piątek popołudniu, a byłem wówczas bardzo pokojowo usposobiony, słysząc na każdym kroku, na ulicy, w lokalach publicznych, w prywatnych domach, tylko dyskusye na temat pokoju. Jasny dowód, że wojna już się u nas chyba dość dała ludziom we znaki, skoro wszyscy mówią o pokoju, mówi się zaś zwykle o tem, czego się pragnie i spodziewa.

Powodem i przyczyną tego było oświadczenie obecnego rządu rosyjskiego, rozesłane do wszystkich państw wojujących, z wyjątkiem, o ile mi się zdaje, Czarnogóry, w którem komisarz ludowy dla spraw zagranicznych, pan Trocki, zawiadamia, że Rosya ma zamiar i ochotę zawarcia zawieszenia broni z mocarstwami centralnemi, a w następstwie tego wdrożenia kroków pokojowych. Jak z powyższego wynika, byłoby to więc na razie pokój odrębny. Trzeba też czekać, co na to powiedzą wspólnicy Rosyi, w szczególności zaś Anglia, grająca pierwsze skrzypce w koncercie koalicyjnym, a następnie Francya, związana z państwem byłego białego cara nie tyle może sympatyą prawdziwą, ile kwestyami pieniężnemi, a te, jak wiadomo, są dzisiaj pierwszorzędnego znaczenia. Wujaszek Wilson nie powinien się chyba mieszać do niezwoich rzeczy, zwłaszcza, że sam już nieraz z tem się manifestował, iż każdy naród powinien stanowić sam o sobie, zwłaszcza, że, wedle słów angielskich mężów stanu, obecna wojna toczy się tylko o wolność ludów choć złośliwi powiadają, że także i w obronie interesów Albionu.

Pan Wilson w każdym razie nie jest w tem przedsiębiorstwie bynajmniej zaangażowanym, chyba, że może na to konto spekulował na giełdzie i teraz obawia się wypuścić z rąk dobry interes.

Jeden jedyny król Mikołaj z Czarnogórza mógłby się uważać za pokrzywdzonego, skoro o nim w owej nocie zapomniano, ale, czy będzie się kto liczył z jego głosem, w to bardzo wątpię. Sądzę więc, że chyba nie zgłosi swego *veto*, które zresztą i tak musiałoby przebrzmieć bez echa. Przyszłym swym losem nie powinien się przecież zbytnio trapić, choć bowiem zapominają o nim koalicyjni przyjaciele, nie zapomniny my, choć jest z nami na wojennej stopie W każdym razie powinien sobie dobrze zapamiętać przysłowie: „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły!“...

Koalicya musi więc mieć obecnie dość rzadką minę i trzeba będzie puścić znów w ruch spory funtów szterlingów i dość się namozolić, by zmienić to, co już się stało, a kto wie, czy temu zadaniu sprosta nawet pan Buchanan, polityk pierwszej wody. Lud rosyjski pragnie pokoju, bo już i jemu otwarły się oczy, że własnemi rękami wyciąga dla kogo innego gorące kasztany z pieca, a zresztą Anglia nie powinna się sprzeciwiać swej własnej dewizie, że każdemu narodowi ma się zostawić wolną rękę i prawo decyzyi o swych własnych losach. Chyba, że to, co wyżej powiedziano, mówiło się tylko ot tak sobie, na wiatr, by świat zbałamucić i wzniosłą zasadą pokryć swe właściwe cele.

O ile mnie to dotyczy, to muszę się przyznać, że ja i dziś jeszcze w ten pokój tak upragniony nie wierzę, pomimo nawet urzędowych zapewnień Biura korespondencyjnego i ciągle się spodziewam, że każde jutro może nam przynieść nową niespodziankę. A od soboty do czwartku może się zmienić bardzo wiele.

Aczkolwiek nie jestem panną, skoro niebiosa obdarzyły mnie wąsami, szanując przecież tradycyę, lubię w wigilię uroczystości świętego Andrzeja ciągnąć wróżby. Po inne, lepsze lata używało się w tym celu roztopionego ołowiu lub wosku, który się potem wylewało na miskę z zimną wodą i z kształtów owego wylewu robiło się horoskopy na rok przyszły. Niestety, ołowiu dziś niema, gdyż uległ rekwizycyi na cele wojenne, brak też i wosku, bo pszczółki zastrejkowały (tak samo, jak kury, nie chcąc za żadną cenę znosić jaj, nawet według taryfy maksymalnej!...), ale od czegóż głowa, a w tej głowie rozum?... Wyciągnąłem gdzieś z ukrycia łojową świecę, przeznaczoną na jeszcze gorsze czasy, gdy już zupełnie nie będziemy mieć żadnych tłuszczów na omastę, stopiłem ją (knot zabrała Weronisia na nici) a potem wylałem zawartość na wodę. I, co Państwo na to powiedzą, nlało mi się coś, co ogromnie kształtem przypomina figę, wobec czego jestem w ogromnym kłopocie, gdyż nie wiem, czy źle się zatrołem do nieswojej rzeczy, czyli też z owych pokojowych pogłosek będzie w samej rzeczy figa. Bo i to, jak się już wyżej rzekło, nie jest wykluczone. Nie tracę przecież ani otuchy, ani nadziei, że wojna musi się przecież raz skończyć, jeśli nie teraz, to w każdym razie później.

Jeden z mych przyjaciół politycznych prosił mnie nawet, bym dołożył wszelkich starań w tym kierunku i użył swych wpływów, które, jak wiadomo, bardzo daleko sięgają, gdyż założył się ze swym znajomym, że wojna musi się w tym roku skończyć. A zakład to nie byle jaki, chodzi bowiem w tym wypadku o kolacyę na sześć osób i to nie w kuchni obywatelskiej! Niestety, na ów festyn nie mam być zaproszonym, wobec czego zasłoniłem się neutralnością, której tyle już dałem dowodów.

Byłbym zapomniał na śmierć dodać, że przy topieniu łoju na święto-andrzejskie wróżby użyłem jednej z zapałek, które mi, w liczbie trzynastu, nadesłał w podarunku jakiś „czciciel ognia“ i to gdzieś aż z włoskiego frontu! Za pamięć niniejszem serdecznie mu dziękuję, polecając się i na przyszłość łaskawym względom, co ma się w ten sposób rozumieć, że przy następnej posyłce powinien dołączyć bodaj pudełko cygar lub papierosów, bym miał co zapalić. A w tamtych stronach powinno tego artykułu nie brakuąć, jak to wiemy z owego popularnego ongiś kupletu, iż „w Majlandzie i Wenedyku na drzewach tytoń w paczkach rośnie“. U nas rosną na drzewach ale liście kasztanowe, które w ostateczności mogą nam tytoń zastąpić, w każdym razie przecież tytoń prawdziwy jest i zdrowszy i smaczniejszy.

Na dzień świętego Andrzeja ulała mi się więc, jak się już wyżej rzekło, figa, lub coś do niej bardzo podobnego, cała teraz nadzieja w świętym Mikołaju, zbliżającym się ku nam wielkim krokiem. Co przyniesie, nie wiem, ale nie tracę nadziei, że przecież może coś takiego, z czego będziemy się cieszyć, więc, dajmy na to, pokój, choćby tylko na razie odrębny z samą Rosyą. Mając z jednej strony wolne ręce, będziemy mieć więcej z drugiej strony swobody działania, więc może przecież doczeka się świeczka do pustu, czyli świat tak upragnionego pokoju.

W ubiegłym roku o tym czasie był Kraków jeszcze twierdzą i trudno było nieraz uzyskać pozwolenie na pobyt, choćby tylko bardzo krótki, obecnie święty Mikołaj z tem się liczyć nie potrzebuje, sądzę też, że nie zapomni o mnie i o reszcie Krakowian, czekających z utęsknieniem jego przybycia.

Źle mi się, że nie mogłbym spokojnie zasnąć, gdybym nie zawadził o aprowizacyę, zwłaszcza, że od niej miałem nawet zamiar rozpocząć niniejszą kronikę. Asumpt do tego dał mi zjazd galicyjskich burmistrzów wszelkiego kalibru, którzy zgromadzili się w Krakowie, by radzić nad aprowizacyjną niedolą, dającą się wszystkim we znaki, jak kraj długi i szeroki. I znów stwierdzono jednozgodnie, że jest źle, a jeśli się stosunki nie poprawią, musi być jeszcze gorzej. Czy się jednak poprawią, tego nikt nie mógł powiedzieć, nawet ci, którzy stoją najbliżej wielkiego ołtarza. Pokazało się, jak na dłoni, że, czy to Kraków, czy Pipidówka, choć obecnie grudzień, wszędzie prawdziwa bryndza majowa, a poprawy stosunków można się spodziewać chyba w... maju! Źe nie jest dobrze, widzimy choćby z tej okoliczności, iż w dniu zjazdu, to jest 25 listopada, nie wydał Kraków bankietu na przyjęcie gości, jak to bywało po inne lata, a każdy z panów burmistrzów, o ile go połowica nie zaopatrzyła w prowianty na drogę, musiał na własny koszt krzepić strudzone pracą obywatelską ciało. Kilku było na obiedzie w kuchni obywatelskiej, skąd wyszli podobno całkiem głodni, klnąc na wojnę, na czem świat stoi.

Nastrój zgromadzenia był bardzo poważny, w wieczerniku magistrackim zgromadzili się przecież ojcowie tylu miast galicyjskich, od małych poczynszy, a na największych skończywszy. Jakie uchwały powzięto, wie każdy z pism codziennych. Nie szczędzono obietnic, że będzie lepiej, że zaś one były na realnej podstawie oparte, mamy znów dowód, choćby tylko z tego, iż zaraz na drugi dzień brakło w Krakowie mąki i chleba, jak zaś długo stan ten potrwa, tego nikt powiedzieć nie może, chyba jaki jegomość, wtajemniczony w *arcana* wojennego Zakładu obrotu zbożem i jego krakowskiej filii.

Nieszczęście lubi zaś chodzić w parze. Brakło mąki i chleba, radzą nam: jedzcie mięso! Ale tymczasem znów panowie rzeźnicy obrazili się, że ktoś im tam robi konkurencyę i sprzedaje mięso o koronę taniej za kilogram, powiedzieli więc sobie, że nie będą bić bydła dla Krakowa. Gdym wiadomość o tem wyczytał w *Kuryerku*, zacząłem się już przygotowywać na śmierć głodową, co jednak nie doszło do skutku, z przyczyn odemnie niezależnych. Jak się stało, i co się stało, nie wiem, tyle tylko mogę powiedzieć, że we czwartek uraczyła mnie moja zacna połowica kawałkiem mięsa, czem taką mi radość sprawiła, iż niewiele brakowało, a byłbym ją może i uściskał, gdyż spodziewałem się, że cały tydzień będzie bezmięsny, jak jest bezmączny i bezchlebowy.

A tu, jak na złość, o owym wynalazku epokowym, mającym się przyczynić do masowego wyżywienia głodnej ludności, dotąd ani słychu. Wiemy o nim akurat tyle, co o zeszłorocznym śniegu, choć, kto wie, czy w jakim zapadłym kącie nie znalazłaby się bodaj mała kupka, mająca świadczyć, że Kraków umie szanować zabytki przeszłości.

Jeść niema co, ale bodaj nie będzie się chodzić boso, gdyż dowiedzieliśmy się, że panowie szewcy otrzymali kilkaset, czy nawet kilka tysięcy kilogramów skóry na podeszwy, po cenie bardzo nizkiej, wobec czego podzelowanie jednej pary powinno kosztować najwyżej do ośmnastu koron wraz z robotą. Tak powiadają niefachowcy, trzeba przecież czekać na oświadczenie interesowanych, to jest majstrów szewskich, którzy z pewnością powezmą uchwałę, że wprawdzie podeszwy są tanie, ale inne „dodatki“ podrożały, wobec tego są zmuszeni do dalszego podwyższenia cen, by ratować zagrożoną egzystencyę.

Tego rodzaju uchwały przechodzą zaś z zasady jednogłośnie, na punkcie bowiem zagrożonego bytu jest równie czuły szewc jak i rzeźnik, odbiorca tylko, zwykły śmiertelnik, musi siedzieć cicho i zdać się na ich łaskę i niełaskę.

Niech sobie zresztą robią, co chcą. Panowała swojego czasu u nas moda chodzenia bez kapeluszy, teraz bieda nauczy nas obywania się bez butów, co nawet, wedle teoryi ś. p. ks. Kneippa, ma być bardzo dla zdrowia korzystnem. Dawniej mówiło się „poznać pana po cholewach“, dziś, dzięki wojnie, społeczeństwo uległo demokratyzacyi, a brak butów zrówna wszystkie stany.

Trudniej będzie, ze względu na publiczną obyczajność, obejść się bez innych części garderoby, w które teraz ani rusz się zaopatrzyć. Doszło do tego, że nawet wielcy w narodzie przyświecają ogółowi dziurami na łokciach, a kronikarz, patrząc na swe „niewymowne“, powtarza z bólem w sercu:

— Nie wszystko złoto, co się świeci!...

Na domiar złego, trapią nas ciągłe wiatry i to jakieś prawdziwie stepowe, dotąd u nas nie znane, chyba wtedy, jak lud twierdzi, gdy się kto powiesił. Choć przykre to życie, tylu u nas przecież kandydatów na samobójców się nie znajdzie, referent więc od ich puszczania widocznie nie jest fachowcem i odkręca, na utrapienie ludzi, stale niewłaściwy kurek. Zwłaszcza płeć nadobna narzeka na te wiatry, iż psują jej loki, fioki i koafiury.

Myślę, że chyba nikt nie będzie mógł na mnie narzekać, że stale powracam do tego samego tematu i odbieram ludziom otuchę. Poruszyłem tyle najrozmaitszych tematów, że chyba jeszcze sięgnąć mogę tylko do beczki strategicznej i zająć się wypadkami na włoskim froncie, te bowiem najbardziej nas obchodzą. Podobno Włosi, uciekając w popłochu, zostawili ogromne zapasy wszelkich artykułów spożywczych, nawet oleju rycynowego, ale my o tem dotąd nie wiemy. Być może, że coś było, ale widocznie któś się znalazł, co to zabrał, nam w zamian, byśmy nie wyszli z gołemi rękami, pozostawiając... jeńców do wyżywienia.

Walka toczy się tam ciągle, nie przynosząc bynajmniej chluby włoskiemu orężowi. Genialny Cadorna poszedł w odstawkę, miejsce jego zajął podobno jeszcze genialniejszy generał Diaz. Czy mu się uda na prawdę błędy poprzednika, niedaleka przyszłość pokaże, chyba, że ta wojna ma być w rzeczy samej trzydziestoletnią, wobec czego na rezultat trzeba byłoby czekać jeszcze bardzo długo.

Ale, jestem pewnym, że w danym wypadku na Kazimierzu w Krakowie i w sąsiadujących z nim dzielnicach nie byłoby ani jednego mieszkańca, który nie mógłby się wykazać bodaj tylko milionem w gotówce.

Wówczas być inspektorem podatkowym to byłaby dopiero rozkosz prawdziwa!

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył J. Markiewicz. legionista, Przemyśl.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego powieściopisarza.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
— — □ —
— — — □ — — —
— — □ —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2 Wahibn 3 Imię męskie 4 Imię żeńskie. 5. Sprzęt domowy. 6 Część głowy 7 Samogłoska 8 Okres czasu 9 Wezwanie sądowe, 10 Władza wojskowa 11 Naczynie. 12 Zwierzę 13 Część zabudowania 14 Jedna z rąk 15 Reprezentant narodu 16 Przyrząd sportowy. 17 Samogłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył S Drezienko, Prądnik

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Kto gra we wiata, warzy piwo chatą. S.

Okienko.

Ułożył J. Markiewicz, legionista, Przemyśl

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a e e
g i i i n
n n n
n t t n n

Znaczenie wyrazów: 1. Głośne obecnie w Rosyi nazwisko. 2 Wyrób cukierniczy 3 Imię męskie biblijne

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. Markiewicz, Przemyśl.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

a, a, e, e, e, e, e, ę, i, i, i, i, i, j, j, k, k, k, k, t ... n r, r, s, s, t, y, z

Łamigłówka literacka.

Ułożył Ed Składzień, Zawada.

Wynaleźć tytuły dzieł podanych autorów. Początkowe ich głoski, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko polskiego komedyopisarza.

Zola?
Gautier?
Krechowiecki?
Syrokomla?
Gąsiorowski?
Orzeszkowa?
Słowacki?
Kuncewicz
Prus?
Szekspir?
Ibsen?
Przybyszewski?
Gruszecki?
Bajko?
Pol?
Gomulicki?
Korzeniowski?
Czerski?

Szaradka kontrastowa.

Ułożył Legionista z Krakowa.

Do słów, umieszczonych poniżej wyszukać inne, mające wprost przeciwne znaczenie. Początkowe ich litery, czytane w tym samym porządku, utworzą znane z fizyki nazwisko słynnego uczonego starożytności:

Synteza, często, lekki, skąpy, różny, wielki, depresya, bliski, import, mocny.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył W Kropicki, Dębica

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

a, ą, c, d, e, i, i, n, o, p, s, t, z, z

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 47.

Łamigłówka:

Ali
kra
wół
Iwa
San
gaj
raj
ait
noc

Zadanie do przestawienia: Kto siła pije, rad się pobije

Logogryf:

H
R e n
D u n a j
w ą t r o b a
j r y s y
o k o
u
ą
A b o
w i r c h
B o t o s a n
G e r w a z y
G u s t a
a k t
i

Trójkąt magiczny:

D w e r n i c k i
W a r s z a w a
E r e m i t a
R u b e n s
N i g e r
I r a n
C a l
K n
I

Zadanie do przestawienia: Kto chce kogo bić, musi sam przy tem być.

Zadanie do przestawienia: Chwycił Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Szarada: Szałamaja.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim. W. Stachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Gawiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, K. Nowicki Przemyśl K. Piasecka Lwów. J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Medyńska Zakopane, M. Serednicka Tarnów. S Skowroński, Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, M. Winiarska Lwów, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J. Baczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga, J Lustig Lwów, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków. K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Ohst Praga, I. Brzostowski Chrzanów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Broda, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Przedłużenie terminu konkursu na projekt mebli. Na skutek życzeń, napływających z różnych stron, Biuro przemysłu drzewnego c. k. Namiestnictwa (C. O. G.) i Wydziału Krajowego w Krakowie przedłuża termin nadsyłania prac konkursowych na projekt mebli, na dzień 15 stycznia 1918 roku. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi dnia 1 lutego 1918. Warunki konkursu wydają Koła Architektów w Warszawie, Poznaniu i Lwowie, oraz Towarzystwo techniczne w Krakowie, jak również nadal i Centralne Biuro przemysłu drzewnego w Krakowie, Basztowa 17, II. p.

Z półek księgarskich.

Przeciw marnowaniu środków spożywczych. Wyżywienie ludności w czasie obecnej wojny wiele cierpi wskutek nieracyonalnego zużytkowania produktów, jak niemniej wskutek tego, że nagromadzone zapasy, czy to w gospodarstwach prywatnych, czy też w magazynach publicznych przez nieumiejętne przechowywanie ulegają zepsuciu.

By temu z jednej strony przeciwdziałać, a z drugiej strony uświadomić najszersze warstwy ludności o konieczności i sposobach oszczędzania środków spożywczych, wydaną została staraniem Związku „Ekonomii" w Krakowie broszura p. t. „Owoce i jarzyny — przechowywanie w stanie świeżym, suszenie, sporządzanie przetworów według najprostszych i najtańszych sposobów".

Obok pouczeń, związanych ściśle z tematem, podaje ta broszura wskazówki hygieniczne, odnoszące się do tego działu gospodarstwa domowego, tak ważne w obecnych warunkach ze względu na grasujące choroby.

Wydawnictwo to oparte jest na doświadczeniu, zaczerpniętem u nas i za granicą w czasie wojny, a ma wyłącznie na celu przyczynić się do podniesienia zdrowotności publicznej i ułatwienia akcyi wyżywienia ludności.

Dla łatwiejszego spopularyzowania tego wydawnictwa (cena 1 kor.) powierzona została sprzedaż nie tylko księgarniom, ale i administracyom pism.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedlejna w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.